

# odgłosu telewizyjne

ANDRZEJ BRYCHT

## TELEWIZJA kietkuje na działkach

Tego nikt nie wiedział. Jedyn był fakt bezsporny w całym ambawasi: mieli telewizor. Mieli go nie dla siebie, a może raczej: nie tylko dla siebie; mieli go dla wszystkich. Ale telewizor kosztował, i opieka nad aparatem kosztuje. Wiele co? Wiele trzeba „krobie” fundusze na telewizyjne wydatki, trzeba... pobierać drobne sumy za bilety wstępu od tych, którzy przychodzą oglądać program.

### 1. Przesłstwo, czy nie?

Zastanawiano się nad tym później. Najpierw przyszli ludzie. Jednego dnia osiemdziesiąt osób, drugiego dnia sto, trzeciego sto dwadzieścia. Płacono po złotówce od wejścia. Niektórzy przychodzili codziennie. Wiele dla takich wymyślono biletów miesięcznych. „Po co masz, bracie, płacić co wieczór, dasz pięć złotych i masz spokój na miesiąc”.

Spisano listę „prenumeratorów miesięcznych” telewizji. Było dwudziestu trzech swoich, czterdziestu pięciu obcych. Tak „obcych”, bo przecież telewizor mieli nie tylko dla siebie.

### 2.

Gdzie? Kiedy? Jak?

Zaraz. Uderzyli się w czoło. Przesłstwo, czy nie? Brać pieniądze za czyjeś usługi? Zakładać miniatury, prywatne nieomalże, kino na zasadach kapitalistycznego, pirackiego wyzysku? Nie każdy może mieć telewizor. Ale czy każdy, kto go ma,

może na innych zarabiać? Uderzyli się w czoło.

Poszli po radę do związku.

Związek zatelefonował do telewizji. Przesłstwo? Czy nie? Sama telewizja nie bardzo wiedziała. „Etyczne to za bardzo nie jest, że wy na nas zarabiacie”.

Wiele kto sprawę wyjaśni? Może ci, którym się składa ustawowe opłaty?

Dyrekcja poczt i telegrafów sprawdziła wszystkie przepisy. Zbadała sprawę do dna. Orzekła:

„Wy nie bierzecie groszy za program telewizyjny, nie sprzedajecie drugi raz cudzej pracy. Opłaty pobieracie za lokal, który udostępniacie gościom. A to już sprawa wasza, i waszego związku”.

Ufff...

### 3.

Tak powstał pierwszy w Polsce klub telewizyjny działkowców. Adres: Łódź, ul. Mazowiecka, ogródki działkowe im. Stefana Okrzei.

Ale jak? Kiedy?

Związek przydzielił działkowcom pieniądze na budowę świetlicy. Materiał

trzeba było kupić. Ale kto powiedział, że trzeba płacić murarom? Trzeba? A wcale nie, skoro my sami jesteśmy murarzami, a pieniędzy nie chcemy.

Z tej dzielnicy do śródmieścia daleko. Nie ma czasu na wyprawy do kin, do teatrów. Nie zawsze się chce przebieierać, jechać. Wracać w nocy.

Jedną rzecz może załatwić kłopoty, uspokoić głód kulturalnej rozrywki, Telewizor.

Kupili więc telewizor we wrześniu. Po krótkich, a

Dalszy ciąg  
na str.  
5



ANDRZEJ MAZUR

## PROSTYTUCJA KRZYWA „W” i parę innych spraw na czasie

Możemy sobie pogratiować, proszę. Współobywateli. Nareszcie przestaliśmy mówić o prostytucji na ucho. A skoro przestaliśmy mówić na ucho, to mówmy już dostatecznie głośno. Nie dlatego, że problem jest ja-

kięj szczególnej rangi. Wręcz przeciwnie! To właśnie zmowa milczenia nadawała mu wyolbrzymione rozmiary. Naga prawda, do-kładnie obejrzana, porównana, skonfrontowana z różnymi „wskaźnikami”, okazała się żenująco skromna, niemal enotliwa.

Wicie, na przykład, że w Japonii prostytucja jest apokaliptycznie rozbudowanym systemem? W „przemysle rozkoszy” (ifu) — „Yonkakons” — funkcjonuje 10.000 (słownie: dziesięć tysięcy) zarejestrowanych domów publicznych z 50 tysiącami stałych pensjonariuszek, ponadto 150 tysięcy geisz i „panenek barowych”, które z zawodowym wdziękiem przyjmują niedwuznaczne propozycje, skutecznie finalizowane

dzięki 25 tysiącom domów schadzek.

Wobec tego porównania skromność nasza po prostu wzdusza. Takich pań w Polsce moglibyśmy naliczyć kilka tysięcy. Łódź, wielkie przemysłowe centrum, ciągle pod tym względem w krajowej czołówce, ma ich nie więcej niż 4-5 setek.

Przywykło się traktować prostytucję w kategoriach

Dokończenie  
na str.  
4



Powoli, powoli, dla każdego znajdzie się miejsce. Po pół złotego, proszę, póki jesień, bo w zimie zdrożeje: węgiel trzeba kupić. Ech dolo kasjera...

# odgłosu

TYGODNIK ŁÓDZKI

Rok II. ŁÓDŹ, dn. 25 października 1959 r.

Cena 1 zł

Nr 43 (87)

W górnym lewym rogu  
„ODGŁOSY TELEWIZYJNE”  
— to nie nowy tytuł naszego pisma,  
tylko zapowiedź nowej cotygodnio-  
wej kolumny





# Spojrzenie na Niemcy

W ciągu tysiąclecia sytuację Środkowej i Wschodniej Europy określał stosunek się do państwa niemieckiego. Dziś w obliczu potęgi Związku Radzieckiego i świata socjalistycznego z granicą na Łabie stosunek ten jest dla Niemiec zachodnich jak najbardziej niekorzystny.

Cały kierunek polityczny Niemiec zachodnich był naceLOWANY na podjęcie militarnego współzawodnictwa i militarnej próby się do światem socjalistycznym. Dziennikarz angielski Ba-

sil Davidson świetnie zilustrował to cytując z przemówień i artykułów „starca z Bonn” kanclerza Adenauera. W szczytowym okresie „zimnej wojny” 1 marca 1952 r. kanclerz Adenauer oświadcza w Heidelbergu: „Moim zdaniem wydarzenia potoczą się w sposób następujący: Gdy Zachód stanie się silniejszy od Związku Radzieckiego, wtedy dopiero nadejdzie pora negocjacji”. W kwietniu 1952 r. w artykule dla amerykańskiego „Saturday Evening Post” napisał: „Przeświadczeni jesteśmy, że wszystkie rozmowy ze Związkiem Radzieckim muszą być prowadzone z pozycji siły. W tymże kwietniu śpiewa na tę samą swojsko-pruską nutę: „Nadejdzie dzień, kiedy Związek Radziecki przestanie być śmiertelnym niebezpie-

czeństwem dla chrześcijańskiego Zachodu i zmuszony będzie do opamiętania się pod presją siły militarnej Zachodu”. Kontynuując tę myśl jeszcze w październiku 1956 r. w Berlinie oświadcza: „Będziemy rozmawiać z sołtami, ale uzbrojeni po zęby”.

O czym i po co chciał uzbrojony po zęby kanclerz Adenauer rozmawiać z sołtami? To chyba nieludne do wyjaśnienia, bowiem ani kanclerz Adenauer, ani inni przedstawiciele jego ekipy nie ukrywali, że celem politycznym nr 1 Niemieckiej Republiki Federalnej jest likwidacja NRD, i odzyskanie „wschodnich terenów”.

Adenauer wciąż mówi o rozmowach tylko ze Związkiem Radzieckim, i to oczywiście z pozycji siły, bo-

wiem drugie credo polityczne NRF polegało na traktowaniu jako czegoś zupełnie nietrwałego nie tylko Niemieckiej Republiki Demokratycznej, ale również Czechosłowacji i Polski. Nie jest to nowe zresztą credo, gdyż polityka Adenauera jest jedynie przedłużeniem tradycyjnej ekspansjonistycznej polityki niemieckiego militarizmu.

No dobrze, ale czy to przypominanie znanych prawd jest niezbędne przy spojrzeniu na Niemcy z perspektywy jesieni 1959 r.? Jak najbardziej. Rok 1959 przyniósł przełom, a przełom ten jest tak głęboki, że znalazła się w jego orbicie również Niemiecka Republika Federalna i jej niezmiennie, brutalnie pruskie założenia polityczne. Dziś, po trzech „Lunni-

kach” ewentualność podjęcia przez Zachód próby militarnej ze Związkiem Radzieckim jest czymś zupełnie nieprawdopodobnym.

Uznaniem równego partnerstwa Związku Radzieckiego było zaproszenie premiera Chruszczowa do Stanów Zjednoczonych. Było to, jak już niedawno pisałem, uznaniem, że trzeba współistnieć, gdyż Zachód nie jest w stanie wygrać wścizy zbrojeń.

Jeżeli więc Zachód poważnie myśli o współistnieniu, a po wizerunku Chruszczowa w USA mamy prawo tak sądzić, to pielęgnowanie czy choćby tolerowanie rosnącej potęgi militarnej Niemiec zachodnich, będące prowokacją w stosunku do całej Wschodniej Europy jest nie do pomysłenia.

Dlatego też polityka za-

chodnich Niemiec, która odcięła to państwo od całej Wschodniej Europy dzisiaj zaczyna izolować Niemcy zachodnie od zachodniego świata.

Tylko chyba naiwni mogą sądzić, że niebezpieczeństwo wzrostu niemieckiej potęgi militarnej jest bezpośrednie. To znaczy, że Niemcy zachodnie, kiedy sięgnęłyby do takomych kasek atomoworakietowych broni, ruszyłyby z tą bronią na Moskwę czy na Warszawę. Nie te czasy, niebezpieczeństwo nie leży w ewentualnym „ruszeniu” na Moskwę czy na Warszawę. Nie mogą ruszyć, bo ich potęga militarna zawsze będzie mizerna w porównaniu z potęgą świata socjalistycznego.

Niebezpieczeństwo wzrostu niemieckiej potęgi kryje się w wpływie niemieckiej polityki na całą politykę Zachodu, a przede wszystkim na politykę Stanów Zjednoczonych. Kanclerz Adenauer ze starczym uporem i z pruską zacietęnością w ciągu całego minionego roku próbował zapewnić sobie decydu-

(Dokończenie na str. 8)

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

## Hrabia Popiel i telewizja

Kiedy chodziłem do szkoły średniej, a było to tuż przed ostatnią wojną, walcowaliśmy do znużenia taki temat — natura czy kultura? Czytało się najpierw artykuł Jana Gwalberta Pawlikowskiego sprzed 50 lat pod takim właśnie tytułem, no i zastanawiał się człowiek nad kataklizmem, który miał spaść na ziemię wskutek postępu technicznego. Dymy z fabryk przepędzała plachta i smutno będzie w świecie, odpływy z fabryk wytrują wszystkie ryby i nie będzie zakąski pod wódkę, wielkie ośrodki przemysłowe uczynią z kobiet prostytutki. Ta ostatnia perspektywa wydawała nam się dosyć interesująca, przeszliśmy już bowiem mutację głosu.

Blisko sto lat temu pojawił się na Wiśle pierwszy parostatek. Z brzegu przyglądał mu się hrabia Popiel, w kontuszu i przy szabli. A ja w to nie wierzę — miał powiedzieć hrabia. Kilka lat temu pisał w łódzkiej „Kronice” Marian Piechal, że nie ma co wierzyć w astronautykę, człowiek nigdy nie doleci do Księżycy. Niemożliwe, proszę państwa, wbrew naturze.

Wielką zaistota potęgą jest polski anachronizm! Zabawny gdy ożywia anegdotę, niebezpieczny, gdy uniemożliwia postęp, gdy zaciemnia prawdziwy obraz sytuacji.

Dość będzie chyba przypomnieć dla przykładu zupełnie już współczesnego ogólną języczkę na temat stanu kultury w Polsce. Jakież straszne gromy spadają na nasz naród! Poezji nie czyta, prozy nie czyta, remanenty w księgarniach szturmuja sufity, bibliotekom n'ewiele przybywa czytelników, jest raczej przeciwnie. Do świetlic naród się nie garnie, w zespołach amatorskich udziału brać nie chce. Fakt! W województwie katowickim, na kulturalnym Śląsku, liczba zespołów amatorskich spadła w ciągu dwóch lat o 60 pro-

cent, a i pozostałe wiodą żywot przeważnie w sprawozdawczości. I teatry świecą często pustkami, nawet kina. Słowem niekulturowy naród, apokalipsa, katastrofa, absolutny niź.

Mimo bezspornych faktów jest to rozumowanie anachroniczne, rodem z XIX wieku. Pamiętacie model człowieka kulturalnego z tamtych czasów? To ten, co książki czyta. Kusy to model, ale też brał miarę ze swoich lat, w których nie było nazbyt wielkiego wyboru. Samotni dziwacy zagrzebani w książkach, zagruźlony korepetytor Paluszkiwicz, który w zachęce izdebec w Pyrzogłowach wcześniej zakończył życie niż zamierzone dzieło — takie wizerunki kulturalnego człowieka, choć nie jedyne oczywiście, pozostawiła nam literatura.

Zdumiewająca rzecz! Kulturę opartą o książkę traktowano w oderwaniu od techniki, często wbrew niej. Bez pasty do zębów i bez mydła, bez kolei, na przekór fabryce, wbrew maszynie, i ubogi pastuszek może być głęboko kulturalny, byle tylko czytał książki.

W działalności kulturalno-oświatowej z międzywojennych lat nie brak także anachronizmów. Książka pozostawała nadal głównym sprawdzianem kultury człowieka. Ale nie jedynym. Czas otworzył nowe możliwości oddziaływania kulturalnego. Z pewnością najpopularniejsza przed wojną wiciowa koncepcja pracy kulturalnej na wsi była dosyć szeroka. Ale i anachroniczna. Powrót do pierwiastków psychicznych z okresu Piasta i Rzepichy, powrót do barwnego stroju, zamarłego obrzędu, rzewnej pieśni śpiewanej jeszcze tylko przez najstarszych, wskrzeszanie dawnego świata barw i melodii, na przekór kosmopolitycznej kulturze miasta, tego siedliska nędzy i rozpusty — czymże to wszystko było jeśli nie próbą zatrzymania czasu?

Oczywiście, także i wielkim krokiem naprzód. Obok książki, rozwijała się świetlica i jej zespoły, jako następne sprawdziany stanu kultury. Jeżeli jednak oba nie stały się powszechne w tamtych latach to można to od biedy wytłumaczyć perfidną polityką sanacji. Dlaczego jednak nie rozwinęły się w Polsce Ludowej? Dlaczego Śląsk, i nie tylko on, stracił olbrzymią część zespołów, czemu tam na każde 1000 ludzi tylko 70 zaglą-

(Dokończenie na str. 4)

ROMAN ŁOBODA

Nuda „Hipokratesem” przeciągają chmury. Oto medcy, kapłani i wojownicy zasiedli wokół, sprawną nad nim są. Jest i przedstawiciel plebsu, którego przyprowadzono jako ofiarę opieszłości lekarza. Człowiek ten jest nędzny i wyniszczony chorobą; wykrzywia przy tym twarz, chcąc okazać swój cały ból i nienawiść podświadomą. Sprawa nie jest łatwa. „Daliśmy ci miarę i wagę cierpień ludzkich — powiada wódz — instrument i eliksiry i cześć, którą cię otaczano. Cóż z tym wszystkim uczynił? Popatrz na tego biednego człowieka”.

— „Nie widziałem tego człowieka — mówi lekarz — w tym czasie byłem u córki Wielkiego Mammona, która ogarnięta czarnym humorem straciła płodność”.

Sprawa nie jest łatwa. Sędziowie pokiwali głowami. „Lud marnieje — wykrzyknął wojownik, chwytając miecz — a ty zabiegasz o płodność jednej płochy kobiety. Stracił go!” — „Kto zna naturę chorób? — zapytał kapłan. — Nikt nie powstał. — Więc?”

— „Ja znam naturę chorób — rzekł „Hipokrates” — ale nie mogę poznać natury człowieka, jest zbyt skomplikowana i łatwo ulega spaczeniom”.

— „A ty jesteś człowiekiem?” — zapytali sędziowie. — „Jako i wy — odparł „Hipokrates” — ale nie wymyśliłem cierpienia, choroby i śmierci”.

— „Popatrz na tego człowieka — powiedzieli sędziowie. — W tym czasie gdy ten człowiek...” — „Wiemy już, wiemy” — przerwał mu — „Byłem u córki — ciągnie „Hipokrates” — Wielkiego Mammona. Nie ja wymyśliłem Mammona! I byłem... U ciebie byłem” — zwraca się do jednego z sędziów.

Człowiek nędzny i wyniszczony chorobą wykrzywia twarz. — „Kto wymyślił chorobę i ból i serce? Kto wymyślił serce? — wskazuje palcem „Hipokratesa”. — Niech odpowie, co to jest serce!” — Sędziowie milczą.

Oczywiście nikt nie może tak sądzić ani starożytnego, ani nowożytnego, ani współczesnego Hipokratesa. Sądząc tak zawsze będzie wątpliwy nie w zamierzeniu, ale konkluzji. Wszelako sąd jest rzeczą konieczną, tylko wyrok zdarzają się niesprawdliwie.

W ostatecznym rozrachun-

ku stają twarzą w twarz z sobą lekarz i chory. Dwa ludzie, którzy chcą siebie nawzajem ocenić. Jeden „naturę choroby”, drugi naturę człowieka. Jakkolwiek by forma organizacyjna poprzedzała to spotkanie — ono wykracza poza tę formę. Staje się aktem wiedzy i moralności. (Na konsultacje i konsyliu często już nie ma czasu). Wydaje mi się, że właśnie ten problem stanowi centrum za-

## WIELKI MAMMONI i współczesny HIPOKRATES

gadnienia i wokół niego układają się wszelkie inne.

Vox populi vox dei. Wiemy, co chce od Służby Zdrowia społeczeństwo: jak najszybszej, najszybszej, najsprawniejszej, i najefektywniejszej pomocy lekarskiej. W powyższym mieści się wszystko; nawet nieodpłatność usług. (Jak najszerszej).

Akt wiedzy i moralności; dodajmy do tego jeszcze to, co powiedział „biedny” i wyniszczony chorobą człowiek — i serca. Oto czysta działalność lekarza.

Nie jest to takie proste, jakby się na pozór wydawało. Wyizolowanie lekarza z nacisku negatywnych społecznych wymaga wielu wysiłków nie tylko czynników kierowniczych Służby Zdrowia, ale i całego społeczeństwa.

Różne wektory tego nacisku działają na, tak samo „ułomnego” jak wszyscy inni ludzie, lekarza.

Oto Wielki Mammon wy-czuł, że młody, współczesny Hipokrates nie opływa w dostatkach. Zaczyna kusić. Oto ten, który jutro może być sędzią, a dziś protektorem twierdzi, że choroba jego żony jest najwazniejsza. Oto

pacjent z butnym wyrazem twarzy wykrzykuje: „Co? Ja mam czekać? Ja panu pokażę! Czy pan wie kto ja jestem?” — Ktoś inny domaga się zwolnienia lub zadozwolenia, postępując się niedozwolonymi chwytami. Oto za „troskliwie” wykonaną operację ktoś wielka 500 złotych. Oto w aptece pojawił się lek reglamentowany. — Ktoś wdzięczny i ktoś zapobiegliwy. Ktoś bezczelny i ktoś podstępny. Ktoś cierpiący i symulant. Wszyscy w zanadru chowają nieodparty i najslusniejszy

argument: choremu i cierpiącemu człowiekowi należy się pomoc i współczucie lekarza. Automatycznie lekarz postawiony jest w roli sędziego: na badanie w warunkach ambulatoryjnych, może poświęcić choremu około 10 minut. Każdy obywatel posiada formalne prawo do tego lekarskiego czasu, ale nie każdy ma do niego prawo moralne. Lekarz wie o tym. Jeżeli jest uczciwy i jeszcze nie za bardzo zmęczony, to stara się urwać trochę minut symulantom i malkontentom, a poświęcić je naprawdę chorym. Ale symulanci i malkontenci więcej mają tupego i energii od słabych i zrezygnowanych. To oni w większości są autorami rozrobek wokół lekarza. Po pewnym czasie przychodzi umiejętność uników i impasów. I przychodzi tak zwany święty spokój, który jest właściwie rezygnacją z „idealów” młodego lekarza.

Ideale te w historii rozwoju medycyny ulegały zmianie. Inny był — nazwijmy to tak — model lekarza w starożytności, inny w średniowieczu, a znowu, inny lansował pozytywizm. Jeżeli przyjmemy, że choroba jego żony jest najwazniejsza, Oto

stąpił wypadkową sił społecznych aktualnie działających, to model współczesnego lekarza jest w stadium krystalizacji. Nie sądzę, aby program nauczania na akademiach medycznych dostatecznie nasycał wyobraźnię adepta medycyny współczesnymi treściami humanistycznymi. Za treść humanistyczną, w konkretnym przypadku, uważam aurę towarzyszącą działalności lekarza. Jest to chyba jakieś poznanie stosunków międzyludzkich, ich prawidłowości i rozwoju a na tym tle świadomej postawy lekarza. Zawężenie tego zagadnienia, jakimkolwiek by ono celom służyło, godzi w szeroko pojęty humanizm lekarza.

Propedeutyka medycyny informuje studenta o dziejach rozwoju lecznictwa, okraszając historię budującymi przykładami heroizmu. Ani tego heroizmu, ani tego zaczerpniętego z Zeromskiego nie można jakoś przystosować do obecnej sytuacji w lecznictwie i wymogów społecznych. Ogromny napływ kandydatów na wyższe uczelnie medyczne to nie był i nie jest napływ samych Judymów. Krzywdzące jednak byłoby twierdzenie, że pod ten ma tylko merkantylne podłoże. Obecnie mit o intratności zawodu lekarza rozwiewa się. Rozpiętość między możliwościami zarobków starych specjalistów i młodych lekarzy nie ma chyba sobie równej w żadnym innym zawodzie. Z tym, że tych młodych jest wielokrotnie więcej. Może ten górny pułap, a może także pozornie niezależność zawodu, są jeszcze dotychczas magnesem przyciągającym rzesze kandydatów na akademie. Niestety, nie mamy odczynników, a testów nie stosujemy, do rozpoznania kandydatów z prawdziwymi zdolnościami i zamiłowaniem do medycyny, którzy kwestie finansowe wyobrażają sobie jako proporcjonalny ekwiwalent za ciężką i odpowiedzialną pracę. Rozczarowanie jest tym głębsze, im mniej znalazło się w sobie tego naturalnego zamiłowania.

pozytywistyczny model lekarza-praktyka jest dziś nieprzydatny. Nie dlatego, żeby prezentował jakieś treści niemoralne czy antyhumanistyczne. Jak wszystkie hipotezy, wybiegał wprawdzie naprzód, ale nie uwzględnił postępu technicznego i społecznego, stawiając tylko na czło-

stąpił wypadkową sił społecznych aktualnie działających, to model współczesnego lekarza jest w stadium krystalizacji.

Propedeutyka medycyny informuje studenta o dziejach rozwoju lecznictwa, okraszając historię budującymi przykładami heroizmu. Ani tego heroizmu, ani tego zaczerpniętego z Zeromskiego nie można jakoś przystosować do obecnej sytuacji w lecznictwie i wymogów społecznych. Ogromny napływ kandydatów na wyższe uczelnie medyczne to nie był i nie jest napływ samych Judymów. Krzywdzące jednak byłoby twierdzenie, że pod ten ma tylko merkantylne podłoże. Obecnie mit o intratności zawodu lekarza rozwiewa się. Rozpiętość między możliwościami zarobków starych specjalistów i młodych lekarzy nie ma chyba sobie równej w żadnym innym zawodzie. Z tym, że tych młodych jest wielokrotnie więcej. Może ten górny pułap, a może także pozornie niezależność zawodu, są jeszcze dotychczas magnesem przyciągającym rzesze kandydatów na akademie. Niestety, nie mamy odczynników, a testów nie stosujemy, do rozpoznania kandydatów z prawdziwymi zdolnościami i zamiłowaniem do medycyny, którzy kwestie finansowe wyobrażają sobie jako proporcjonalny ekwiwalent za ciężką i odpowiedzialną pracę. Rozczarowanie jest tym głębsze, im mniej znalazło się w sobie tego naturalnego zamiłowania.

pozytywistyczny model lekarza-praktyka jest dziś nieprzydatny. Nie dlatego, żeby prezentował jakieś treści niemoralne czy antyhumanistyczne. Jak wszystkie hipotezy, wybiegał wprawdzie naprzód, ale nie uwzględnił postępu technicznego i społecznego, stawiając tylko na czło-

stąpił wypadkową sił społecznych aktualnie działających, to model współczesnego lekarza jest w stadium krystalizacji.

pozytywistyczny model lekarza-praktyka jest dziś nieprzydatny. Nie dlatego, żeby prezentował jakieś treści niemoralne czy antyhumanistyczne. Jak wszystkie hipotezy, wybiegał wprawdzie naprzód, ale nie uwzględnił postępu technicznego i społecznego, stawiając tylko na czło-



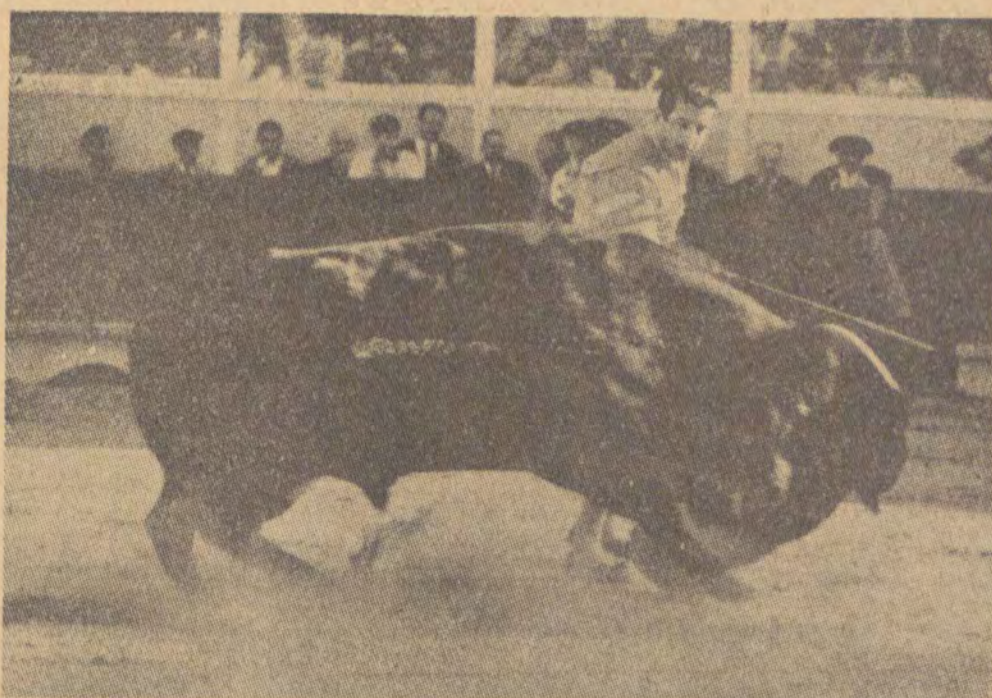
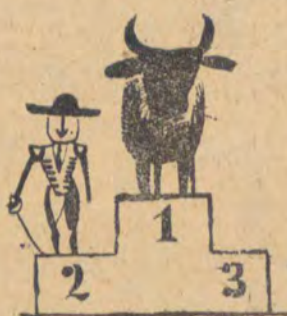
# Z bykiem na ty

Bycza zabawa, zwana romantycznie corrida, przywodzi nam na myśl Carmen, kastaniety...

Dzięki uprzejmości fotoreportera „Lite'u” przyjrzymy się z bliska bykობójsztwu A.D. 1959.



3  
Matador kontynuuje dzieło pikadora, powiewając przed ślepiami przeciwnika czerwona płachta, muleta. W drugiej ręce dziurzy głów: bohater corridy — sznada.



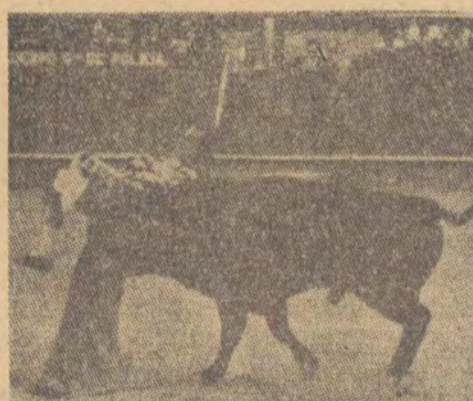
1

Wstępna ceremonia modlitwa przed występowaniem z intencją wyjednania u Pana Boga meścia dla matadora — czworonożnego przeciwnika, przypomina żywo westimienia obożnych braciśzków przed wystąpieniem oezu w czasie bardziej jednostronnych zapasów z okresu Świętej Inkwizycji. Rzecz się dzieje również w Hiszpanii. A warto wiedzieć, że absolutnie wierna Watykanowi Hiszpania, tylko raz sprzeciwiła się jego woli — gdy kilka wieków temu jeden ze zbyt zapalczywych kardynałów potępił walki byków.



2

Przenosimy się na arenę. Pikador, jak sama nazwa wskazuje, operuje piką, dostając konia zabezpieczonego z boków ochraniaczami. Zakres czynności rzeźniczonego uczestnika zabawy — podrażnienie bigami i zabójstwo — przez wbijanie w grzbiet piki.



4

Matador, podrzucony w górę przez buhaja, ląduje na piasku areny wśród okrzyków delikatnych seniorów.



5

Ślodycz zwycięstwa tale to już inny matador — tamten jest w szpitalu — w prawej ręce kopyto, w lewej ogon jednego z przeciwników, którzy przynoszą rocznie za swe poświęcenie pół miliona dolarów heroicznemu matadorowi.

wieka. Trudno sobie obecnie wyobrazić, przy szeroko i gęsto rozbudowanej sieci ambulatoriów, stacji pogotowia, sanatoriów i szpitali z ich taborem transportowym, lekarza wędrującego dziesiątki kilometrów pieszo, śpiącego w chatkach chłopskich i rozdającego leki. Byłby to szkodliwy dla społeczeństwa anachronizm, świadczący o wadliwym wykorzystaniu umiejętności lekarza.

Ale współczesnego modelu jeszcze nie znamy. Jeżeli nawet daje się zauważyć w życiu to nie wszędzie ani do publicystyki ani do literatury ani nawet do teatru, chociaż były próby pokazania lekarza na scenie.

Założenie jak najszerzej

i społecznie pojętej pomocy lekarskiej determinuje organizacyjnie cały aparat kierujący Służbą Zdrowia. Determinuje go w kierunku rozbudowy i usprawnienia tej pomocy. Tak typ leczenia wpływa zasadniczo na kształtowanie się modelu lekarza. Lekarz niewątpliwie traci coś z przyjaciela rodziny i uroku konsultanta. Jest bardziej anonimowy szczególnie ci po przychodniach i ambulatoriach. Jest bardziej pracownikiem, a mniej trubadurem. Pozostaje mu jednak rzecz niezmiernie ważna i chyba najistotniejsza: posiada władzę (wprawdzie ograniczoną) nad „naturą chorób”. Jego spotkanie z chorym jest dalej aktem wiedzy i moralności, i wcale tu nie ma

patetycznej przesady, jeżeli się zważy, że często sprawa idzie o życie.

Wszelako określanie właściwych warunków dla tych spotkań: miejsca, czasu, atmosfery, zakresu — należy do organizatorów Służby Zdrowia, którzy będąc sami lekarzami i przy udziale lekarzy praktykujących — zdają sobie z tego sprawę. Stosunek lekarza do chorego i odwrotnie to nie są rzeczy nieważne. I tu znów, nawiązując do poprzednich rozważań, kwestia oceny i wyważenia tych stosunków należy do kierownictwa Służby Zdrowia.

Jeżeli Hipokrates mniemał, że zna „naturę chorób” (przypuśćmy, że tak było) a błądzał, jakoby nie znał natury człowieka — to i tak mógł być znakom-

itym lekarzem. Natomiast model lekarza kształtowany przez rzeczywistość XX wieku nie będzie współczesny, jeżeli zabraknie mu znajomości psychiki ludzkiej. Trudno. Uporał się nieco z bakteriami. Wprowadził trochę profilaktyki, ale odetchnąć nie można. Rozwój endokrynologii i psychiatrii nie jest przypadkowy. Tempo i specyfika nowoczesności: ma i swój ujemny wpływ na zdrowie człowieka. To już nie jest watra czy serce. Aparat atakowany jest niezmiernie delikatny: czuły. Granice między chorobą a zdrowiem zaciera się. Tu już nie wystarczy termometr czy analiza. Trzeba poznać naturę człowieka. Ba! Trzeba orientować się w jego reakcjach.

Receptorach i bodźcach. A bodźce to cała rzeczywistość. To prawie beletrystyka. Któż może pomóc lekarzowi? Pisarz? Tak, ale tu chodzi o określony obiekt którego świat wcale nie jest dowolny. Trzeba sięgać do całego arsenału wiadomości o człowieku. Trzeba prześledzić różnych osobników, w różnych wariantach ich zderzeń ze światem. A to już humanistyka.

Nie chcę być złym pro-rokiem. Jeżeli nam nie pomoże cybernetyka... (Taki sztuczny lekarz z elektronowym mózgiem: za „akt wiedzy i moralności” odpowiada mechanik). Ale to przedko jeszcze nie będzie, nie ma się co cieszyć. Trzeba będzie zostać humanistą...

Mam jakieś dziwne poczucie, że model współczesnego lekarza, taki trochę na wyrost, to lekarz-humanista.

Ale do rzeczy. Z tą weryfikacją lekarzy to znowu nie jest tak tragicznie jeżeli się zważy, że chorzy w 1959 r. powinien leczyć lekarz z dyplomem.

A jak się trochę ta Służba Zdrowia ogarnie, to może tam się coś i dla nas wyogospodaruje. Co?

odgłosy str. 3





JERZY DAGOBERT

# PAMIĘTNIK SZPIEGA (VII)

przeprowadziła aresztowania w naszej organizacji. Wszystkie informacje o naszej sieci zostały bowiem Bupo dostarczone rozmaitymi drogami przez Abwehre.

O ile wiem, do jednej z nich tylko Bupo doszła samodzielnie i to zupełnie przypadkowo.

Pracownik radia szwajcarskiego, szukając czegoś na krótkich falach pochwycił silny sygnał nadawany alfabetem Morse'a i szyfrowany, Zaintrygowany słuchał, ponieważ od czasu wybuchu wojny wszelkie amatorskie transmisje zostały zakazane. Zresztą transmisja 5-cyfrowych grup wyglądała na coś więcej, aniżeli na zwykły wyczyn amatorski. Pracownik zanotował sygnał i częstotliwość po czym doniósł o wszystkim swoim przełożonym, ci zaś z kolei Bupo.

Stacja została poddana obserwacji. Po długim czasie

za pomocą ruchomych przyrządów goniometrycznych zlokalizowana w Genewie wraz z drugą stacją, transmitującą w podobny sposób. Były to stacje „Ewalda” i „Agi”.

Przeglądając 9 października przy śniadaniu w kawiarni pierwsze wydanie „Tribune de Geneve” zauważyłem krótką notatkę podającą do wiadomości, że w Genewie została wykryta tajna stacja krótkofalowa, w związku z czym aresztowano dwie osoby. Tej nocy słyszałem sygnał Centrali, daremnie wzywający „Ewalda”. Stało się jasne.

Następnego dnia rano zatelefonował do mnie „Albert”. „Przykro mi donieść panu, że „Ewald” poczuł się gorzej i lekarze zdecydowali po konsultacji, że musi pójść do kliniki”. Wykrztusiłem kilka współczujących słów, ale mój pracownik intensywnie.

Wiadomość ta oznaczała, że jedynym ogniwem łączącym sieć z Centralą jest mój odbiornik.

W kilka dni później „Albert” zawiadomił mnie, że udało mu się uzyskać przez dozorcę więziennego kontakt z „Ewaldem”, który dał znać, że pokazano mu moją fotografię i poinformowano, że przedstawia ona kierownika całej sieci wywiadu brytyjskiego na Szwajcarię.

Wyglądało zatem, że policja nie wie o istnieniu lub przynajmniej o roli „Alberta”.

O wszystkim tym donieśliśmy Centrali, która poleciła mi objąć kontrolę nad całą siecią i przejść od „Alberta” kontakt z „Paulem” i „Sussi”, dostarczających ciągle nowych informacji od „Lily”.

W międzyczasie „Ewald” dał znowu znać z więzienia, że mu oficer śledczy powiadził o brytyjskiej stacji nadawczej w Lozannie, mającej ulec wkrótce likwidacji.

Poinformowałem o tym Centralę, która odpowiedziała, że wiadomości „Lily” są zbyt cenne, ażeby móc z nich teraz zrezygnować, że muszą pozostać na posterunku do czasu, aż mnie ktoś zastąpi i będę się mógł przenieść gdzie indziej. Przez ten czas miałem transmitować tylko informacje „Lily”.

Z „Albertem” widywałem się przeciętnie dwa razy na tydzień, w zależności od stanu jego nerwów i innych moich zajęć. Jedynym zresztą celem naszych spotkań było przekazywanie mi materiału „Lily” (gdyż „Albert” wbrew rozkazowi Centrali wzbierał się uparcie przekazać mi kontakt do „Sussi”). Spotkania nasze odbywały się według zasad konspiracji, co się nam zresztą opłaciło.

Pod koniec października umówiliśmy się na spotkanie w Parc d'Eaux Vives w Genewie.

„Albert” przyjechał taksowką i wszedł do parku. Zauważyłem, że szofer odjechał natychmiast po otrzymaniu zapłaty, ale przy budce telefonicznej zatrzymał się i wszedł szybko do środka.

Podzieliłem się moim spostrzeżeniem z „Albertem” i postanowiliśmy, jakkolwiek może to się wydawać przesadną ostrożnością, natychmiast opuścić park innym wejściem. Zdażyliśmy na czas.

Dowiedziałem się później, że wszyscy kierownicy taksowek w Genewie otrzymali podobiznę „Alberta”. Kierowca, o którym mowa, rozpoznał go w swoim kliencie.

Ten mały incydent przeważał szale — chore nerwy „Alberta” nie wytrzymały. Nie pomógł ani wpływ żony, ani moje perswazyje — „Albert” załamał się zupełnie i o ile wiem nie wrócił nigdy więcej do pracy.

Niepotrzebnie się jednak martwiłem tym wszystkim. Już wkrótce po tym przestało być cokolwiek zależne ode mnie.

W nocy z 19 na 20 listopada, o zwykłej porze: 12 min. 30, nadałem krótką wiadomość do Centrali, następnie zaś zacząłem odbierać polecenia, które ta miała dla mnie.

W 45 minut później rozległy się głośnie uderzenia do drzwi i pokój napelniał się policją.

20 listopada o godz. 1 min. 12 „lekarze” wzięli sprawę w swoje ręce.

Wraz z moim aresztowaniem pękło ostatnie ogniwo pomiędzy Centralą a Szwajcarią.

## Koniec

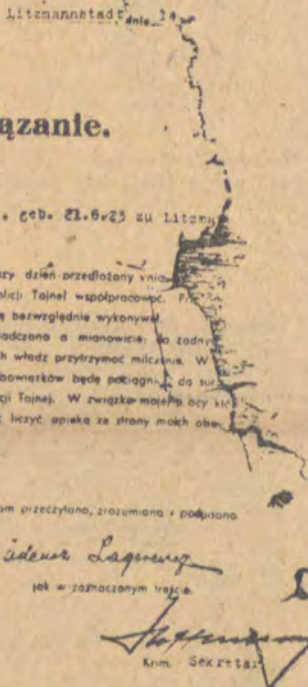
## Likwidacja sieci

Z końcem września zatem kontrwywiad Abwehry mógł się pochwalić dużymi sukcesami w wojnie przeciw nam. Znalali moje nazwisko i adres, wiedzieli, że posiadam moją siatkę wywiadowczą i odbiornik w Lozannie. Znalali nazwisko i adres „Alberta” i nasłali agenta na jego pracownię. Wiedzieli, że „Sussi” miała coś wspólnego z siecią.

Z wiadomych już względów mówię stale o Abwehry, a nie o szwajcarskiej policji, pomimo, że to ta w końcu

## Z archiwum Łódzkiego Gestapo

Geheime Staatspolizei  
Staatspolizeistelle Litmanstadt  
Referat N



### Obowiązanie.

Odbiorczyna-przyjemca Pan

Tadeusz Zagoraniak, ckb. 21.6v25 z Litmanstadt

Przyjmuję następujące obowiązki:

W związku z tym mi udzielony jest w imieniu Państwa Niemieckiego i Policji Tajnej współpracownik. Jest mi znana i w zupełności ją także będę bezwzględnie wykonywać. Również zostałem do tego obowiązany i mam obowiązek do zadania obcych ludzi, jak również do innych wódz przyjąć milczącą. W nie przetrzymam milczenia danych mi obowiązków będę podlegający, do odpowiedzialności karnej, przez straż Policji Tajnej. W związku z tym oświadczam, że mam również liczyć opiekę ze strony moich obywatelskich władz.

Sam przyjęto, zrozumiano i podpisano

idemur Lagunog

jak w załączonym trybie

Kim Sekretarz

W związku z artykułem „V-118 melduje” otrzymaliśmy z Komendy Łódzkiej MO fotokopię jego „Obowiązania” konfidencyjnego

## Hrabia Popiel i telewizja

(Dokończenie ze str. 2)

da do bibliotek? Narodowy odwrót od kultury?

Nie, to tylko narodowy anachronizm, o tyle inny niż poprzednie, że zamierzają do domu, wyposażony dość obficie w pieniądze. Nie jestem przeciwnikiem zespołów amatorskich. Ot, po prostu uważam, że są one, jak wiele rzeczy na tym świecie, kategorią historyczną, mają swój wiek młody czy męski, ale i starzeją się trochę. A rozumiem tak: przeciwieństwo tu zakorzenilo się najwięcej fikcją. Któż zliczy dziś świetlice, zwłaszcza w miastach, zamknięte, puste, lub tylko nudne? Któż zliczy pieniądze, wydane na zespoły, które nie odegrały żadnej poważniejszej roli w środowisku? Tak to jest — każdy występ mało znanego zespołu siemianowickiego kosztuje 27 tys. złotych. No więc zobaczcie ile złego spowodował ten polski

anachronizm. Wszyscy w zespołach czytelniczych, wszyscy — aktorami i wszyscy — deklamatorami, i ty Kuba i ty Michał. A Kuba woli se radio. Popytajcie doświadczonych działaczy, a opowiedzą wam jak się robiło kaiser-koenigliche kulturelle Revolution, ciągiem ino na papierze, dla pana starosty, choć na pewno wiele ludzkiego wysiłku przyniosło dobre owoce. Ale to nie jest dobre ani potrzebne, kiedy niewyżyta siła biurowa, wsparta przez buchaltera i kilku urzędników próbuje udawać Dejmka, a toruje drogę zlej amatorszczyźnie.

Kultura książki i świetlicy nie zyskała więc rangi powszechności, a jednak jest potrzebna wszędzie tam, zwłaszcza na wsi, gdzie istnieje rzeczywista potrzeba. Zespoły przeszły już swój punkt szczytowy, mogą i powinny istnieć jako jeden z elementów. Sądzę też, że póki będzie istniała potrzeba intymnego, jednostkowego odczuwania faktu kulturalnego, dotąd książka pozostanie poważnym elementem oddziaływania. A więc w

przybliżeniu do końca świata. Z tego powodu, że kultura książki i świetlicy straciły prymat, nie powstała jeszcze dziura w niebie. Nie ma już Śląsk większości świetlic, nie ma i Łódź, mają ją za 60 i 20 tysięcy telewizorów.

Niedawno temu przeprowadził „Dziennik Zachodni” ankietę, w której chodziło m. in. o stwierdzenie potrzeb kulturalnych w skali masowej. Spośród 38 tysięcy odpowiedzi, olbrzymia, przynajmniej większość zawiązała jedną tylko prośbę — dajcie zwykłą salkę, gdzie będzie można oglądać telewizję.

I patrzcie tylko co się dzieje. Ludzie z inicjatywą, grupy sąsiedzkie, działkowi-cze, kolejarze, robotnicy, coraz częściej kupują zespołowo ów cud XX wieku. Jak grzyby po deszczu, samorzędnie powstają kluby telewizyjne. Prości ludzie obcuja z kinem, imitacją co prawda, ale dobrego niekiedy teatru, z Chruszczowem i Eisenhowem, albo lekkoatletami, czy piłkarzami, którzy wciąją się jeszcze sławniejsi. Niezależnie od tego prawie co trzecia rodzina w Łodzi ma już radio.

No więc mamy tedy do czynienia z inwazją nowoczesnych form oddziaływania

kulturalnego, a zawdzięczamy ją technice. Tej właśnie, która przynosi nowe, kolorowe domy, gaz, centralne ogrzewanie, łazienki, pralki, odkurzacze, lodówki, telewizory, motocykle, słowem nowe wyznaczniki sytuacji kulturalnej człowieka pracy. Technice, która i na Księżyc trafiała, mimo protestów Mariana Piechala. Zmniejszył się zasięg tradycyjnych form upowszechniania kultury, zwiększył się zasięg nowych. Anachronizmem jest więc niedostrzeżenie nowoczesnych sprawdzianów życia kulturalnego ludzi dnia dzisiejszego, niedostrzeżenie wielkiej pracy techniki dla kultury masowej. Robotnicy nie kupują telewizorów, gdyż brakuje im przeważnie po 6.500 złotych do pełnej sumy. A jednak, jak wykazują wstępne badania, stanowią już 27 procent ogółu odbiorców telewizji, w bibliotekach łódzkich 22 procent, w zespołach... lepiej nie mówić. Zakochany w przeszłości działacz kulturalny, w przeszłości którą cenimy, powinien częściej odrywać oczy od książki, wychodzić poza zaczerpnięty krąg świetlicy i zwracać swoje doświadczenie w nowoczesnymi środkami upowszechniania kultury.

WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI

# PROSTYTUCJA

Dalszy ciąg  
ze str. 1

który żeni się z bogatą starą kobietą, że on oddaje się prostytutce”.  
A. Flexner: „Prostytutka jest i ta kobieta, która w celach nierządu doбира sobie dobrze sytuowanego i dobrze prezentującego się mężczyznę... W tym znaczeniu prostytutką jest każda osoba, która stale lub w pewnych okolicznościach utrzymuje stosunki seksualne mniej lub więcej objętne, przyjmując za nie zapłatę lub prezenty”.

P. Dufour: „Właściwa prostytutka powstaje w tym momencie, w którym kobieta sprzedaje się jako towar; ten handel podobnie jak większość kontraktów kupna i sprzedaży, jest uzależniony od wielu różnych warunków. Jeśli kobieta posłuszna podstępom serca lub pociągowi fizycznemu, oddawała się „pieszczotom”, to nie można by wówczas oskarżyć jej o prostytucję, boć tamta waży i oblicza, handluje i targuje się”.

W ten sposób bez mała wszystko już powiedziano. Notabene przytoczone sądy wygłoszone zostały w bieżącym stuleciu i pochodzą od ludzi, którzy w świecie nauki mieli coś do powiedzenia. Również sąd pierwszy — tęskna reminiscencja haremów, gyneceów i pasów cnoty, z których niefrasobliwe biolagowy wyrwały się, ku potępieniu surowej opinii mądrych doktorów.

Mamy w każdym razie wybór od pospolitego (przez swą powszechność) „cudzołóstwa” — tu i ówdzie, dość często, otrzymującego jeszcze konwencjonalny epitet w żargonie lub „czystym” języku — do prostego kryterium handlowego w akcie kupna-sprzedaży za brzęczącą monetą.

Subtelność uczuć moralnych i stosunek do kultuństwa pozwolą łaskawym Czytelnikom wybrać sobie definicję stosowną. Nami wszelkie śpieszy w sukurs prawo (francuskie), precyzując, niejako ex officio stanowisko następujące: Prostytutką jest kobieta trudniąca się nierządem zawodowym, przy czym nierząd jest jej jedynym źródłem utrzymania”. Takie sformułowanie pozostawiałoby jeszcze luki dla wielu moralizatorskich ambicji, ustawodawca więc stawia kropkę nad „i”: „Przez zawodowe uprawianie nierządu rozumie się wielość przygodnie nawiązanych kontaktów”. Teraz sprawa staje się zupełnie jasna. Prawnik przestaje moralizować. Nie interesuje go kto z kim i dlaczego żyje. Interesuje go „wielość przygodnych kontaktów stałego problemu nie uznawając, uważając, że jest on produktem klasowego podziału społeczeństwa — a więc w socjalizmie nie istnieje.

Poglądy przyszły i odeszły. Prostytucja została. A więc została prostytutka. Ale jaka? Co to jest w ogóle prostytutka? Chcąc przywołać autorytet moralistów, prawników i lekarzy — można by się zgubić w sprzecznych cytatach.

Tytułem próby także zestawienie:  
A. Neisser: „Prostytutka jest i ta kobieta, która utrzymuje pozamażeńskie stosunki seksualne, nawet jeśli te stosunki mają na celu rozkosz zmysłowe bez chęci zysku”.  
Yves Guyot: „Prostytutka jest każda osoba (mężczyzna czy kobieta), której stosunki płciowe podporządkowane są kwestii zysku. Powiedzenie rodzicom, którzy namówili córkę aby posłużyła niedołężnemu starcu, jedynie ze względu na jego majątek, że z córki swej zrobił prostytutkę. Powiedzenie, młodemu człowiekowi,

który żeni się z bogatą starą kobietą, że on oddaje się prostytutce”.

A. Flexner: „Prostytutka jest i ta kobieta, która w celach nierządu doбира sobie dobrze sytuowanego i dobrze prezentującego się mężczyznę... W tym znaczeniu prostytutką jest każda osoba, która stale lub w pewnych okolicznościach utrzymuje stosunki seksualne mniej lub więcej objętne, przyjmując za nie zapłatę lub prezenty”.

P. Dufour: „Właściwa prostytutka powstaje w tym momencie, w którym kobieta sprzedaje się jako towar; ten handel podobnie jak większość kontraktów kupna i sprzedaży, jest uzależniony od wielu różnych warunków. Jeśli kobieta posłuszna podstępom serca lub pociągowi fizycznemu, oddawała się „pieszczotom”, to nie można by wówczas oskarżyć jej o prostytucję, boć tamta waży i oblicza, handluje i targuje się”.

W ten sposób bez mała wszystko już powiedziano. Notabene przytoczone sądy wygłoszone zostały w bieżącym stuleciu i pochodzą od ludzi, którzy w świecie nauki mieli coś do powiedzenia. Również sąd pierwszy — tęskna reminiscencja haremów, gyneceów i pasów cnoty, z których niefrasobliwe biolagowy wyrwały się, ku potępieniu surowej opinii mądrych doktorów.

Mamy w każdym razie wybór od pospolitego (przez swą powszechność) „cudzołóstwa” — tu i ówdzie, dość często, otrzymującego jeszcze konwencjonalny epitet w żargonie lub „czystym” języku — do prostego kryterium handlowego w akcie kupna-sprzedaży za brzęczącą monetą.

Subtelność uczuć moralnych i stosunek do kultuństwa pozwolą łaskawym Czytelnikom wybrać sobie definicję stosowną. Nam wszelkie śpieszy w sukurs prawo (francuskie), precyzując, niejako ex officio stanowisko następujące: Prostytutką jest kobieta trudniąca się nierządem zawodowym, przy czym nierząd jest jej jedynym źródłem utrzymania”. Takie sformułowanie pozostawiałoby jeszcze luki dla wielu moralizatorskich ambicji, ustawodawca więc stawia kropkę nad „i”: „Przez zawodowe uprawianie nierządu rozumie się wielość przygodnie nawiązanych kontaktów”. Teraz sprawa staje się zupełnie jasna. Prawnik przestaje moralizować. Nie interesuje go kto z kim i dlaczego żyje. Interesuje go „wielość przygodnych kontaktów stałego problemu nie uznawając, uważając, że jest on produktem klasowego podziału społeczeństwa — a więc w socjalizmie nie istnieje.

Poglądy przyszły i odeszły. Prostytucja została. A więc została prostytutka. Ale jaka? Co to jest w ogóle prostytutka? Chcąc przywołać autorytet moralistów, prawników i lekarzy — można by się zgubić w sprzecznych cytatach.

Tytułem próby także zestawienie:  
A. Neisser: „Prostytutka jest i ta kobieta, która utrzymuje pozamażeńskie stosunki seksualne, nawet jeśli te stosunki mają na celu rozkosz zmysłowe bez chęci zysku”.  
Yves Guyot: „Prostytutka jest każda osoba (mężczyzna czy kobieta), której stosunki płciowe podporządkowane są kwestii zysku. Powiedzenie rodzicom, którzy namówili córkę aby posłużyła niedołężnemu starcu, jedynie ze względu na jego majątek, że z córki swej zrobił prostytutkę. Powiedzenie, młodemu człowiekowi,

Przez „higienę społeczną”



(Dalszy ciąg ze str. 1)

burzliwych tarapatkach, w dniu pierwszym października bieżącego roku założyli klub telewizyjny.

4.

Klub — piękne słowo. Ale co taki klub ma robić? Wiadomo: oglądać program. Ale czy do oglądania konieczny jest „klub“?

Przewodniczący ogrodników, Józef Sobieracki powiada:

„Klub rozumiemy jako towarzystwo wzajemnej pomocy. Po prostu, żeby było łatwiej i przyjemniej żyć. Mamy na miejscu teatr, kino, wiadomości, w tej jednej skrzynce. A człowiek jak coś widzi, to lubi o tym powiedzieć, wyrazić swój sąd. Więc zbieramy się, żeby dyskutować o tym, co nam pokazali, i o innych sprawach, które w jakiś sposób się z tym wiąże. Oto już niedługo odbędzie się zebranie z rodzicami w sprawie dzieci. Dzieciarnia przesiaduje od początku do końca programu, gapi się w telewizor, a to przecież nie dobrze. Mamy program dziecianny, niech się nie przemieszczają rzeczami trudniejszymi. Inna rzecz, że telewizja często nie dotrzymuje terminu, przedłuża o godzinę, a nie raz jak na przykład w ostatnią niedzielę o półtorej godziny film dla dzieci, to powoduje gniew rodziców, którzy myślą, że dzieci waleśają się po ulicy“.

„Nasza publiczność — powiada pan Sobieracki — to ludzie prości, zwyczajni: robotnicy, emeryci, młodzież z fabryk i warsztatów. Oni nie każdy program przyjmują dobrze, dla nich powinien być program inny. I w ogóle, czy telewizja nie powinna zmienić trochę swoją linię repertuarową? Dawniej telewizory posiadali ludzie zamożni, artyści, wyżsi urzędnicy. Pewnie, że im odpowiadały sztuki teatralne takie, jakie nie każdy zrozumie, czy inne trudne audycje. Obecnie ilość posiadaczy aparatów wzrasta, niedługo telewizor będzie tak popularny jak radio. Nie można szerokiemu mas karmić dotychczasową pożywką. Niech telewizja stworzy instytut do badania

opini o programie, niech daje więcej audycji dla młodzieży w wieku osiemnastu — dwudziestu lat, więcej sztuk teatralnych zrozumiałych, komedii, fars, niech nie daje filmów kolorowych, bo wtedy nie wiadać napisów — tak było z „Faustyną“ w zeszłą środę. I chcielibyśmy zrobić spotkanie z przedstawicielem telewizji, żeby nam opowiedział o pracy w studio; chcielibyśmy podzielić się z nim swoimi uwagami. To by chyba wyszło wszystko na dobre“.

Myślę, że Łódzka Telewizja tę prośbę spełni, bo warto. Warto chociażby zobaczyć zaafektowane i przejęte twarze dzieciarni wprost pochłaniającej mętny i nudny, ilustrowany chemicznymi wykresami wykład o protonach.

5.

A więc — przestępstwo? Nie.

To się robi jakaś telegielgia, telegielgia. Ona się przedko skończy, bo nie zawsze jednakowy zachwyt towarzyszyć będzie audycji

# TELEWIZJA kietkuje na działkach

Tekst: ANDRZEJ BRYCHT  
Zdjęcia: M. PETRUSZKA



„A ja wiem. Dwa palce w górę, jak w szkole. A to przecież quiz telewizyjny...“

o protonach, ona się przedko skończy, jeśli takie audycje o protonach będą się zdarzać częściej. Osobiście nie mam nic przeciw protonom, ale mam dużo przeciw nudzie. Ale telegielgia nie skończy się też tak przedko, żeby się należało tej przedkości obawiać.

Ci ludzie z odległych dzielnic, z małych miasteczek, oni nie przyjadą do świata, ale jeśli świat przychodzi do nich, to się cieszą. To się czują mieszkańcami świata, a nie tylko swojej ulicy, wychodzą poza swoje troski, poza swój los, a to przecież powinno być podstawową umiejętnością człowieka.

Mała salka świetlicy ogrodników działkowych zastawiona prostymi ławkami, ta mała salka w której zapach nasion i myszy, w której ciemność i srebrny gładzący kwadrat nad głowami ludzi — ta salka to klinika porodowa Wzmoczonego Działania Kultury.

6.

Starszka w chustec po-

wiada: „Nieraz to tak myślę, co ja bym bez tej telewizji robiła. Niedawno na to przychodzi, ale tak mi się spodobało, że aż strach. Człowiek się do takiej nowości przyzwyczaja jak do zywego stworzenia. Jakby mi przódzy kto krowę dawał, albo telewizor, to bym się ośmiała. A teraz, kto wie co bym wzięła...“

„K-ów, to tam babela nie jedna w życiu miała!“ śmieje się młody feltniak.

„Chowało się gadzinie... A ty żeś po ulicy latał i gorzole chliał, a teraz też tu przyłazisz!“ odcina się babka.

Chłopak się śmieje: „I to co dzień!“

W Związku, na Traugutta pod dwunastym, powiedzieli mi: takich od sześćdziesięciu, do siedemdziesięciu lat, emerytów to mamy wśród wszystkich działkowców siedemdziesiąt procent. Siedzieli ci ludzie wieczorami w domu, czuli się niepotrzebni. Nikt się z ich zdaniem nie liczył. Teraz oglądają program, co myślą to powiedzą, a młodzi słuchają, bo choć niby mądrzejsze jajo od kury, to przecież kura nie tak całkiem głupia. Oczywiście.

7.

Obejrzałem statut pierwszego w Polsce klubu telewizyjnego działkowców. Obejrzałem ozdobił zrobione legitymacje z literami K.T. na okładkach. Obejrzałem twarze ludzi podczas programu. I widzę, że telewizję czeka dużo pięknej, odpowiedzialnej roboty. Nie wolno dopuścić, by na twarzach tych ludzi pokazało się zniechęcenie. Trzeba robić tak, żeby ci ludzie byli coraz mądrzejsi, coraz lepsi. Oni teraz kupują węgiel na zimę, Trzeba palić w świetlicy. Szukają sobie dom na zimę, dom z okienkiem na świat. Nie wolno ich zawieść.

A czy przestępstwo? Działkowcy w całej Polsce postąpią tak, jak postąpił lodzianin. Przybędzie parę tysięcy widzów. Będzie to inny typ odbiorcy, niż dotychczas. Ten odbiorca powiada: „Telewizja narzędziem masowej kultury“.

Telewizjo — uważaj!

rozumieć należy oczywiście tylko obronę przed chorobami wenerycznymi. I znów tylko ten wzgląd upoważnia społeczeństwo do ingerowania w sprawy kobiet, które obrwały sobie niedowzmaczny proceder. Wzgląd na powiązania prostytutki ze światem przestępczym jest tutaj obojętny. Prostytucja i przestępczość są zjawiskami współistniejącymi, ale nie współzależnymi — jedno bez drugiego może się obyć. Natomiast między prostytucją a chorobami wenerycznymi istnieje współzależność widoczna.

Przedwojenne badania wykazują, że co najmniej 25% mężczyzn chorych na kłie zawdzięczało to prostytutkom. Jeżeli przyjmujemy, że każdy z tych mężczyzn miał

### KODEKS KARNY art. 208

Kto z chęci zysku u-latwia cudzy nierząd, podlega karze więzienia do lat 5.

sposobność po zarażeniu obcować co najmniej z jedną kobietą zdrową — to nawet gdyby na tym zamknął się cykl, mielibyśmy 50 proc. zachorowań pochodzących bezpośrednio z tego źródła. W takim zestawieniu udział prostytucji w stosunku do reszty ludności jest przerażająco wysoki. Warto tu przypomnieć, że kłie jest chorobą bardzo ciężką i nieuleczoną lub nie wyleczoną ostankowicie prowadzą do porażenia postępującego lub

wiadu rdzenia — w obu wypadkach kończą się chorobą umysłową i śmiercią.

Oczywiście niebezpieczeństwo masowego zarażenia istnieje dopiero wtedy, kiedy przygodność stosunków prostytutki uniemożliwia władzom sanitarnym zidentyfikowanie „głównego nosiciela“. Mężczyźni na ogół uważają za punkt swe go honoru zachować się rycersko wobec kobiety, która obdarowała ich kłią i nie ujawniać jej nazwiska lekarzowi. Często jednak informują o tym samą partnerkę. W układzie prostytutka — klient kontakt urywa się bezpowrotnie, źródło pozostaje nieujawnione.

Szczególnie groźne jest to zwłaszcza wtedy, gdy mężczyzna zaraża się kłią i rzeźączką równocześnie (wypadki częste, albowiem zachorowalność na rzeźączkę jest wielokrotnie większa). Objawy rzeźączki występują po 2-4 dniach (kłie — dopiero po 2-3 tygodniach). Wówczas —nierzadko sposobem domowym — aplikuje się penicylinę. Penicylina likwiduje rzeźączkę i równocześnie zapobiega ujawnieniu się ostrego objawów kłie (owrodzenia pierwotnego), której jednak nie jest w stanie wyleczyć całkowicie. W ten sposób chory — głęboko przekonany o własnym zdrowiu — stanie po pewnym czasie oko w oko z chorobą, która powoli, niepostrzeżenie zadomowiła się w jego organizmie i poczyniła w nim spustoszenia.

W Łodzi ilość zarejestrowa-

nych w Poradniach „W“ świeżych przypadków kłie wynosiła w roku 1957 — 333, wobec 64 w roku 1954. W 1958 r. nastąpił spadek do 225 świeżych zachorowań. W stosunku do 700-tysięcznej ludności ilość ta wydaje

### KODEKS KARNY art. 209

Kto czerpie z cudzego nierządu zyski, podlega karze więzienia do lat 5.

się pozornie nieznaczna. Wynika z tego, że przeciętnie na 2.300 obywateli jeden miał „szansę“ zarazić się kłią. Byłaby to więc — prościej wybaczyć porównanie — trzykrotnie mniejsza szansa niż wylosowanie samochodu w PRO.

Fachowcy jednak biją na alarm, a skoro oni to czynią — wiedzą co czynią. Okazuje się, że wysokość rejestracji nie odzwierciedla bynajmniej stanu faktycznego zachorowań. Trzeba do niej zastosować mnożnik. Jaki — nikt nie wie, można tylko snuć przypuszczenia. Faktem jest natomiast, że wględy wstyd wciąż jeszcze górują u rodaków nad rzetelną troską o własne zdrowie i zdrowie swych najbliższych. Od czasu do czasu jakieś nieudane samobójstwo czy przypadkowe badanie lekarskie ujawnia nowego chorego — świadomego swej przypadłości, niemniej starannie unikającego kontaktu z lekarzem, zwłaszcza społecznym. Do tego typu pacjentów należą również prostytutki.

Włec jednak prostytucja jest problemem? Jest. Ale w tym i tylko w tym sensie. Można by wprowadzić ubolewać, że klientami prostytutek są nie tylko „starsi panowie z brzuskiem“, ale również bardzo młodzi chłopcy. Fakt, że na takiej drodze rozpo-czynają oni pierwsze kroki swojego erotycznego życia może zaciążyć na prawidłowości ich doznań — nie tylko moralnych, ale i estetycznych. To jednak jest zagadnienie znacznie szersze.

Sama prostytucja, o ile wolno snuć horoskopy, towarzyszyć będzie ludzkości do epoki absolutnego szczęścia (terminem tym markuje nieskończenie odległą perspektywę czasową). A i w tej epoce znajdzie pewnie dla siebie małeńki kącik, margines. Taki margines miało, ma i mieć będzie każde społeczeństwo. Obojętne, czy robi kapitalistyczną rewolucję, czy buduje socjalizm.

Oczywiście margines ten może być większy i mniejszy. Wpływ ustroju społecznego nie jest w każdym razie obojętny na jego wielkość. Nie jest obojętny w dzisiejszej Polsce.

Prostytucja AD 1959 w Polsce jest na pewno inna niż np. we Francji, a niewątpliwie inna niż przed wojną. Po pierwsze jest znacznie mniej liczna. Po drugie — występuje w bardziej „wysterylizowanej“ postaci. Co przez to rozumieć? Między kobietą, która ma opinie „puszczalskiej“, a prostytutką jest

ogromna różnica. Znacznie większa niż — rozumując konwencjonalnie — między „puszczalską“ a zakonnica najsurowszej reguly. Istotną różnicę jest zachowanie godności ludzkiej. Kobieta, która chce tę godność zachować zachowa ją nawet gdyby kochanków zmieniała „jak rękawiczki“, nawet gdyby nie był jej obojętny ich stan majątkowy. prostytutka tej godności zachować nie chce. Absolutnie każdemu oferuje usługi — kto tylko chce, i ma pieniądze, może ją mieć.

Chyba zrozumiałe. Otóż taka postawa wymaga niewspółmiernie dalek idących przewartościowań w samocenie. Na to może się ważyć kobieta, gdy widzi w prostytucji albo drogę wydatnego podniesienia swojej „stopy życiowej“, albo gdy nie dostrzeżę innego

### KODEKS KARNY art. 210

Kto nakłania inną osobę do zawodowego oddawania się nierządowi, podlega karze więzienia do lat 5 i grzywny.

wyjęła z sytuacji szczególnie trudnej. Z całym przekonaniem twierdząc, że żaden z tych wględów nie może być w dzisiejszej Polsce dominującym motywem dla rozpoczęcia procedury. Bez państwowotwórczej egzaltacji. Po prostu, przez te piętnaście lat, niepostrzeżenie uściwili-

my kryterium pieniężne na dalszych szczeblach hierarchii społecznej, a tak zwane „trudne sytuacje“, powszechnie biorąc nie są wystarczająco trudne, aby godność swoją sponiewierała za szmatławy luksus.

Pozostają kobiety, które nie mogą ważyć swojej decyzji, bo nie są do tego zdolne. Ograniczone i chore umysłowo, alkoholiczki, ninfomanki. Te ostatnie z chorobliwym, wyolbrzymionym popędem płciowym nie spoczywają w „miłosnych praktykach“ i biorą od klientów tylko tyle, aby żyć w fizycznym tego słowa znaczeniu.

Taka jest w rzeczy samej przeważająca większość dzisiejszych naszych prostytutek. Prostytucja przestaje być więc zawodem. Staje się jedną z form osobowej degeneracji. A to nie jedno i to samo!

Jeszcze notatka końcowa. Czy warto w takim razie walczyć z prostytucją? Warto. I trzeba. Wystarczą nawet granice zakreślone przez Kodeks Karny — tu cytowany w przerywnikach. Oczywiście, gdy się tego prawa przestrzegano surowo i konsekwentnie.

ANDRZEJ MAZUR



BIAŁE  
PLAMY (IV)

# Na Ogrodowej



## Stanisław Fijałkowski

Stanisław Fijałkowski — obecnie adiunkt Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych w Łodzi — jest dyplomantem tej uczelni. Związany ze Strzezińskimi i Wegnerem, już od pierwszych lat swej kariery malarskiej — przypadających na okres tzw. socrealizmu — uprawia eżanizm a potem kubizm w połączeniu z ekspresjonizmem. Dzisiejsze malarstwo Fijałkowskiego nazwał Jan Brzdekowski „próbą wyjścia poza czystą abstrakcję”.

— Z jakim kierunkiem w plastyce współczesnej czuje się Pan związany?

— Trudno mi powiedzieć. Raczej z poszczególnymi malarzami, a więc Klee, Kandynski. Strzeziński interesuje mnie o tyle, że jest to mój mistrz, ale nie widzę siebie jako kontynuatora jego kierunku. Ten kierunek związany jest tylko i wyłącznie ze Strzezińskim. To był porwany, wielki człowiek. Dziś można mówić tylko o pewnych typach malarstwa, a nie o szkołach. Moje ma-



St. Fijałkowski — „Symetryczne stońce” — olej 1959 r.  
Zdjęcia: E. Kudał

larstwo idzie dwoma torami: abstrakcja geometryczna i malarstwo figuratywne. Usiłuję połączyć te dwa typy, gdyż uważam, że nie można machnąć ręką na dwadzieścia wieków malarstwa i powiedzieć: „Ami dziś robimy abstrakcję”. Malarstwo to nie cyrk. Nie chciałbym zrezygnować z pewnych elementów metaforycznych.

Wydaje mi się, że sztuka abstrakcyjna jest jakimś językiem uniwersalnym, ale tym językiem trzeba umieć przemawiać, a co najważniejsze, trzeba mieć coś do powiedzenia. Żyjemy w świecie wielkich problemów i dlatego nie mamy ich rozstrzygać? Żyjemy w tym świecie i chcę w nim znaleźć swoje miejsce. Oczywiście na pytania „co to jest?” nie będę odpowiadał.

— Co sądzi Pan o przyszłości sztuki nieprzedstawiającej?

— W abstrakcji musi kiedyś dojść do wprowadzenia elementów przedstawiających. Trudno jest teraz powiedzieć, jak będzie oceniany za dziesięć czy dwadzieścia lat nasz dzisiejszy wysiłek. To mnie nie interesuje. Każdy solidny wysiłek ma sens i ja osobiście wiem, że moja praca jest pożyteczna.

— Jakie Pan widzi możliwości zainteresowania odbiorców plastyką współczesną?

— Przede wszystkim inna polityka wystaw. Jak dotychczas jesteśmy pomijani w urządzaniu ciekawych wystaw zagranicznych ze względu na brak odpowiedniej galerii. A więc zasadnicza sprawa — to galeria. Poza tym powinno powstać jakieś żywe ciało, skupiające literatów, muzyków, plastyków, które by tworzyło życie kulturalne w Łodzi. Ale bez pisma jako organu tej grupy też się nie da nic zrobić. Przed wojną nie było wyższych uczelni typu artystycznego, wychodziła „Forma”. Można by było jeszcze popularyzować malarstwo poprzez pocztówkowe reprodukcje, które za granicą można dostać za grosze w każdym kiosku, muzeum, galerii.

— W jakich warunkach Pan pracuje?

— W zasadzie warunki pracy mam bardzo dobre. Posiadam dużą pracownię, która mnie niestety... finansowo kładzie. Niech się pan nie dziwi. W Szkole zarabiam 1800 złotych, raz na rok — na Wystawie Okręgowej — sprzedaję jeden obraz i raz na rok otrzymuję stypendium. Natomiast miesięcznie wydaję: na malarstwo tysiąc złotych (farby, płótno, ramy itp.) i za pracownię czterysta dziesięć złotych. Myślę, że miasto mogłoby uwolnić nas od tak wysokiego podatku. Taka sytuacja zmusza nas do podejmowania różnych prac, które wykonujemy ze szkodą dla własnej twórczości.

— Jak się Pan czuje w Łodzi?

— Świetnie. Jak łodzianin. Na to składa się kilka okoliczności, jakieś zaangażowanie w tradycjach awangardowych, związanych z tym miastem, bezpośredni kontakt ze Strzezińskimi. Zresztą to miasto wybrałem jak najbardziej świadomie, czuję do niego dużo lokalnego patriotyzmu, może dlatego, że jest takie bez dekoracji, w przeciwieństwie np. do Warszawy, upefuntowanej, udekorowanej i takiej nie na codzień. Ale jest jeszcze w tym mieście wiele do zrobienia, np. w zakresie kolekcji sztuki nowoczesnej, która powinna być jedną z największych atrakcji dla przyjeźdźców.

Rozmawiał  
MARIAN ZDROJEWSKI



Dawno pogasły światła w „famułach” na Ogrodowej. Ciężko śpią spracowani robotnicy. Ludzie chodzą tu wcześniej spać, aby wypocząć do świtu. Po drugiej stronie miarowo grają maszyny przędzalni. Marchlewski nie śpi nigdy. Trwa wieczna muzyka wrzescion. Tylko ludzie się wymieniają. Zmiana zastępuje zmianę.

W porównaniu z okresem przedwojennym na tych samych starych maszynach wydajność pracy robotnika wzrosła przeciętnie o 30 proc. Niestety, nie jest to zasługa maszyn. To tylko zasługa robotników. Maszyny wymieni się już niedługo, zakład ulegnie modernizacji. Jednak trudniej jest zmodernizować życie człowieka niż maszyny.

W Zakładach Marchlewskiego pracuje około 9 tysięcy osób. Z pracy tych 9 tysięcy utrzymuje się przeszło 30 tysięcy ludzi. Duże powiatowe miasteczko. Prze-

ciężny zarobek robotnika waha się w granicach od 1300 do 1500 zł.

Zakłady Marchlewskiego to zakłady przędzące, wzorcowe, często się o nich pisze, mówi i pokazuje. Posiadają swoją szkołę podstawową, przedszkole, dom dla dzieci w Grotnikach, zespół baletu dziecięcego, własne kino przerobione z przyzakładowego Domu Kultury, a przy tym kinie — klub filmowy — jeden z największych w Polsce.

Rada zakładowa rozprawia się z zniżką a czasem i za darmo bilety na filmy i do teatru. Ludzie wyjeżdżają stąd na wczasy i do sanatoriów. Młodzież ZMS-owka posiada też swój klub w małym baraczkach, w którym ponoc odbywają się ciekawe imprezy, prelekcje, gry i zabawy, przeważnie taneczne. Niestety, dwukrotnie odwiedziłem ów klub wieczorem i nikogo tam nie zastałem.

Zupełnie przypadkowo natomiast trafiłem na dyskusję przedstawicieli zakładów z jednym z aktorów Teatru Nowego na temat estrady robotniczej. Aktorów podobno przyszedł z pewnymi propozycjami artystycznymi, ale nie chciał przed czasem ich zdradzić. Narobił przy tym tyle zastrzeżeń, iż przedstawiciele zakładów przestraszyli się i mniemam że z owej współpracy wyjdą raczej nic.

Z sugestii przedstawicieli zakładów wynikało, że estradzie tej chcieliby powierzyć funkcje obsługiwaną artystycznego wszelkich uroczystości państwowych i lokalnych. Swego czasu był już tu taki fasadowy zespół pieśni i tańca od tych rzeczy. Zostało po nim wiele dekoracji i kostiumów kupionych za niebagatelną sumę.

Kulturotwórcza rola takiego zespołu była raczej mierna. Nie ma więc czego żałować. Sądzę, że w ogóle nie należy przeceniać roli takich zespołów, w których grupka niewyżytych zapalceniów stara się zaspokajać swoje młodzieńcze kompleksy.

Noszę jednak w sobie pewną myśl (ach, te kompleksy!) na miłe trącąca herezją. Otóż jest w Łodzi oryginalna ryba. Ryba nazywa się „Pstrąg”. Oprócz „Pstrąga” jest jeszcze kilka innych zespołów studenckich.

Są to teatryki egzystujące siłą młodzieńczego zapалу, talentu, entuzjazmu i pustych kieszeni swych wykonawców. Natomiast Zakłady Marchlewskiego mają sporo pieniędzy na tak zwane cele kulturalne. A gdyby tak stworzył eksperymentalny zespół studencki — robotniczy i skojarzył go nie tylko w sensie personalno — finansowym, ale i artystycznym. Uważam, że jest to propozycja całkiem realna.

Albowiem dotychczasowe formy pracy kulturalnej nie zdają egzaminu. Nie zaspokajają one rzeczywistych potrzeb człowieka pracy w takim stopniu, w jakim chcielibyśmy to widzieć. Wejść jeszcze, niestety, życie „duchowe” robotnika ogranicza się do niedzielnej mszy w kościele, odpustu, kredowych figurek, nimf na ścianie, ludowej zabawy na Zdrowiu kończącej się zwykle pęknięciem butelki i nie tylko butelki. Dajemy robotnikowi darmowy bilet do kina, pustą, nudną i zimny klub, który dawniej nazywano świetlicą. W ten sposób likwidujemy „białe plamy”.

Spotykałem dwie młode pracownice od Marchlewskiego w obyczajowej na Sienkiewicza. W czasie obławy na prostytutki wyciągnięto je z

„Warszawianki”. Pytam się czy należą do ZMS?

— Tak — odpowiadają — należymy.

— To dlaczego zamiast do „Warszawianki” nie pójdziecie do swojego klubu?

— Ee, tam... nudno w klubie. Nawet kawy wypić nie można.

— Wykształcenie? — Po chwili wahania — jedna 7 klas, druga — 5 klas szkoły podstawowej.

W Zakładach Marchlewskiego pracuje 68 niepełnoletnich chłopców i dziewcząt bez ukończonych siedmiu klas szkoły podstawowej. Z tego tylko połowa uczęszcza do przyzakładowej szkoły. Na tysiąc pracowników w wieku od 18 do 35 lat, którzy nie ukończyli siedmiu klas zaledwie siedemnaście chodzi do szkoły. Oficjalna statystyka nie wykazuje analfabetów w zakładach. Podobno ich nie ma. Ale gdyby, gdyby dobrze poszukać?

W Widzewskich Zakładach Przemysłu Bawełnianego im. 1 Maja na 5.000 robotników jest 175 analfabetów.

Są to jednak ludzie starzy, przeważnie analfabeci wtórni. Wciągnęci teraz w codzienny kierał obowiązków zawodowych i rodzinnych szybko zapominają skromne wiadomości nabyte w latach młodości.

Gorzej jest z młodzieżą, która uchyla się od obowiązków nauczania.

Jak już powiedzieliśmy, w Zakładach Marchlewskiego na 68 młodocianych, którzy nie posiadają podstawowego wykształcenia, tylko połowa uczęszcza do szkoły.

A co z pozostałymi? Pytanie to zadałem dyrektorowi zakładów. „Będziemy usuwać z pracy z „wilczych biletów”. Młody człowiek, odczuwający wstręt do książki, nie otrzyma pracy, dopóki nie zadeklaruje gotowości wypełniania obowiązków nauczania. Stworzyliśmy dogodny warunki do pracy i nauki. Robotnicy mają na miejscu szkoły, mają możliwości, należy je tylko w pełni docenić i wykorzystać”.

Jednocześnie Komitet Łódzki ZMS przystąpił do organizowania kursów nauki początkowej na terenie zakładów pracy. Jest to inicjatywa na pewno cenna, mam tylko wątpliwość co do samej koncepcji podstawowych szkół przyzakładowych. Ze względu na zmienność nauka odbywa się tam albo przed, albo natychmiast po pracy. Po pracy robotnik jest zmęczony, spieszy mu się do domu. W takich warunkach wyniki nauki są raczej mierne. Nauka wymaga skupienia, ciszy, estetycznych pomieszczeń, w sumie więc odpowiedniej atmosfery, a

ALEKSANDER KUC

## O AWANS ZŁEGO MIASTA

„Złym miastem” nazwano je w literaturze. Niewdzięczny to był dawniej teren dla wszelkich imprez kulturalnych.

No tak, powiecie... ale to było dawniej, przed laty. Dziś Łódź jest prężnym ośrodkiem nauki i sztuki, ma wyższe uczelnie, operę, filharmonię, wytwórnię filmową, teatry, słowem, to wszystko, co jest niezbędne dla

promieniowania na zewnątrz wielkiego miasta. I powoli — obok stolicy przemysłu włókienniczego — zyskuje sobie miano ośrodka kulturalnego.

A jednak. Nazwa „złe miasto” nie poszła w niepamięć. Słyszysz ją tu i ówdzie w środowiskach twórczych, uskarżających się w dalszym ciągu na brak kontaktów z szerszymi kręgami łodzian,

niezrozumienie i obojętność. Czy wolno nam jednak uwierzyć w mityczne „złe miasto”? To prawda, że proces dojrzewania kulturalnego szeroki rzesz nie jest tak dynamiczny, jakbyśmy tego chcieli. Zjawisko to, typowe dla całego kraju, w Łodzi nabiera specyficznej ostryści. Rozdziewek między potrzebami kulturalnymi przeciętnego robotnika, który niedawno opuścił oplotki wiejskie, a środowiskami twórczymi o wysublimowanej kulturze jest tu głębszy niż gdzie indziej. Czy należy więc, respektując gusty mas, zrezygnować z ambicji twórczych? Każda dziedzina twórczości ma przecież swoje prawa rozwojowe. Nie możemy się cofać. Jak więc zaspokoić ten głębszy róż, zlikwidować rozdziewek między twórcą a odbiorcą? Tak wyglądają pytania, jakie sły-

szy się często w środowiskach kulturalnych naszego miasta. Tak wygląda teren, na którym działają łódzkie placówki kulturalne, między nimi zaś niedawno upaństwowione Wydawnictwo Łódzkie. Nie trzeba chyba dodawać, że instytucja ta to jedna z zasadniczych przesłanek awansu naszego miasta. Tak przynajmniej utrzymywano w kołach literackich, łącząc z upaństwowieniem Wydawnictwa nadzieje na wzmocniony ruch wydawniczy, a tym samym na ożywienie życia literackiego. Miłośnicy naszego miasta (a mimo wszystko, jest ich spora gromadka) cieszyli się nadzieją, że odżyją w druku tradycje Łodzi. Nie słyszało się przy tym głosów, które upaństwowienie Wydawnictwa łączyłyby z polityką upowszechniania kultury. A przecież właśnie Wydawnictwo, reprezentując



# i gdzie indziej...

tej nie może zapewnić żaden zakład produkcyjny.

Punkty nauczania należałyby organizować nie w pobliżu miejsca pracy, ale raczej w pobliżu miejsca zamieszkania. Na przeszkodzie stoi tu kwestia zmienności. Jednak sądzę, że i to dałoby się rozwiązać.

W 1945 roku mieliśmy 4,5 miliona analfabetów. Zmobilizowano wówczas wszystkie siły do walki z analfabetyzmem a później w miejscach publicznych wmurowano tablice pamiątkowe, na których złotymi zgłoskami wyryto, iż od roku 1951 nie ma już w Polsce żadnego analfabety. Cudów nie ma. Wielu z tych, którzy nauczyli się wtedy czytać i pisać, do dziś zapomniało już o tym. Powód? — nie zabezpieczono w pełni ich dalszego rozwoju.

Rokrocznie komisje wojskowe na terenie Łodzi wyławiają dziesiątki analfabetów. Tego nie da się wytłumaczyć okupacją ani spuścizną sanacji. To są 18-20-letni chłopcy, którym zapewniono wszelkie możliwości ukończenia szkoły podstawowej. Ale niestety, nie wszyscy z tych możliwości potrafili skorzystać. Kary na kolegach orzekających dla uchylających się od obowiązków nauczania są śmiesznie niskie. Sięgają 50 zł, a rzadki to wypadek, kiedy ojciec musi zapłacić 150 zł. Ojciec rład i goni syna do roboty. W jego kalkulacji to mu się opłaca. Tragiczne, ale prawdziwe.

Zdaje sobie sprawę, że stosowanie kary pieniężnej za niewypelnienie obowiązków nauczania jest drastyczną i nieprzyjemną formą wychowania. Należy znaleźć inne środki, jak chociażby i „wilczy bilet”. Ale czyż uwierzycie, że dyrekcja jakiegokolwiek zakładu usunie z pracy młodocianego za to, że nie chce uczęszczać do szkoły? Dyrekcja ma swoje zadania, swoje plany, które trzeba wykonać, a w Łodzi, jak wszędzie wiadomo, odczuwamy brak siły roboczej. Dotychczas nie słyszałem o wypadku usunięcia z pracy za niechętny stosunek do nauki.

Instruktorzy oświatowi przy dzielnicowych radach narodowych traktowani są w zakładach pracy jak „zaraża”.

Posłuchajmy się jeszcze przykładem Marchlewskiego, jako że jest największy i najbardziej reprezentatywny. Na 1,070 pracowników w wieku od lat 16 do 35, którzy nie ukończyli siedmiu klas, uczy się tylko 51 osób. Proponuje się w mniejszym lub większym przybliżeniu można odnieść do wszystkich zakładów pracy. Licząc bardzo skromnie (niestety, brak szczegółowych danych) na

terenie Łodzi znajduje się w tej chwili około 10 tys. analfabetów i półanalfabetów. Tymczasem na kursy nauki początkowej do szkół dla dorosłych uczęszcza łącznie 3.200 uczniów.

Jakie są tego przyczyny? Przyczyn jest wiele i są bardzo złożone, począwszy od słabego nacisku, małej propagandy, nikłego zaangażowania organizacji społecznych, nieudolności organów oświatowych, ciągłego napływu elementu wiejskiego itd. Ale generalnie rzecz biorąc odpychają ludzi dorosłych od nauki przestarzałe formy nauczania i zbyt długi czas trwania tej nauki.

W rozmowie ze mną uczniowie jednej ze szkół dla dorosłych skrzyli się, że uczą się na tych samych podręcznikach co ich dzieci.

— Panie, wstyd mi przed własną córką, że uczę się z tej samej książki co ona. Dla nas, starych, powinna ta nauka być bardziej życiowa i ze względu na dom nie zadawać, bo i tak nie mam czasu tego odczytać. A w ogóle to za otup do tej szkoły trzeba chodzić. Jakby tak w ciągu roku można było ze trzy klasy zrobić to i owszem. Co pan na to?

Co ja? Pytanie to należałoby skierować raczej do Mi-

nisterstwa Oświaty, gdzie już od paru lat jacyś niezłani, ale na pewno wybitni al. chemicy od pedagogiki wysmażają w tajemniczym trygu programy nauczania i podręczniki dla dorosłych.

Jedyna droga podniesienia cenzuru nauczania dorosłych w zakresie siedmiu klas szkoły podstawowej, to skrócenie czasu nauki i zarzucenie staroswieckiej metodyki.

Moje rozmowy i wędrowki po ulicy Ogródowej napęły mnie lekką melancholią. Cóż, niestety, jak sam pan widzi, redaktorze, nie ma zbyt wielu powodów do tańca na ulicach ogrodowych na których drzewa nie rosną.

P. S. Do pierwszej części reportażu wkradła się drobna nieścisłość i pewne pogłębienie wbrew intencjom autora niektórzy czytelnicy odczytali jako wypowiedź pani Nowickiej. Za przykreślenie odniesione z tego tytułu autorowi reportażu gorąco państwa Nowickich przepraszam.

Niestety, nie pierwszy to raz zdarza się, że złośliwe sąsiadki opacznie interpretują pewne słowa skierowane pod adresem bliźnich. Gorzej jednak, gdy i mężczyźni zaczynają się tymi sprawami zajmować.

Tekst: KAROL BADZIAK  
Zdjęcia: GERARD PUCIATO



w ścisłym tego słowa znaczeniu tak zwany „mecenat państwowy” winno stać się jednym z czynników organizujących w Łodzi życie literackie.

W dotychczasowym dorobku Wydawnictwa widzieliśmy zaledwie niesmiśle próby zwracania uwagi literatów na współczesność, z jej bogatą i różnorodną tematyką. Mam na myśli ogłoszony w ubiegłym roku, szeroko już zresztą omawiany, konkurs literacki. Wyniki tego konkursu — poza jedną lub dwiema pozycjami — nie usprawiedliwiły jednak pokładanych w nim nadziei.

Może zresztą za wcześnie jeszcze na uwagi krytyczne w stosunku do początkującego Wydawnictwa. Wydaje się jednak, że zbyt niesmiało są jego poczynania na drugim, niezmiernie ważnym odcin-

ku wydawniczym. Mamy na myśli tradycje naszego miasta, wydobycie których może nie tylko wzbogacić naszą kulturę ogólnonarodową, ale w pewnym mierze wpłynąć na rozwój czytelnictwa łódzian, w masie swej przecież uczniowie związanych z miastem. Zarówno region łódzki, jak i sama Łódź czekają na monografie i pamiętniki. Ugorem leży wielkie pole do pracy dla historyków i literatów. Znajdzie ono niewątpliwie odpowiednie miejsce w przyszłych planach Wydawnictwa.

Cóż warto są jednak wszystkie plany wydawnicze, jeśli dorobek literatury nie może stać się dobrem powszechnym? Wydaje mi się, że w rozwoju czytelnictwa Wydawnictwo może odegrać wielką rolę, jeśli działalność jego będzie oparta o przemysłową i szeroko zakrojoną

akcję instytucji i organizacji, które troszcza się o sprawy kultury. Wiadomo, jak rozchodzą się u nas serie wydawnicze, które starają się zaspokoić dość powszechny przecież głód sensacji. A gdyby tak Wydawnictwo spróbowało wydawać tania biblioteczka, która, zaspokajając głód sensacji, zawierała by jednocześnie wiadomości z historii względnie innych dziedzin wiedzy (wbrew pozorom bowiem można chyba polaczyć upowszechnienie nauki z zaspokojeniem głodu sensacji)? Przy okazji można byłoby także upowszechniać klasyków literatury, zaczynając od tych łatwiejszych. Pamiętamy przecież, jak rozchodziły się przed wojną i jaką rolę spełniały książeczki „Raju”. Propagowanie takiej biblioteczki — rozpowszechnianej przede wszystkim w prenumeracie

WŁADYSŁAW RYMKIEWICZ

## NOC POŚLUBNA MARI LUDWIKI



### 3) TAJEMNICE KRÓLEWSKIEJ ALKOWY

Po chłodnym przywitaniu w katedrze i po uroczystościach zaślubin (a raczej, ratyfikacji paryskiego ślubu) utrzymywał się jeszcze w czasie uczy weselej nastroju sztywnej grzeczności między nowożeńcami — ólewkami. „Zaprowadziliśmy potem królestwo ichmość gankami zwyczajnymi do pokojów, którzy z sobą wieczerali prywatnie, nie w takowej jednak, jako się spodziewano wesołości, i owszem, raczej w milczeniu i melancholii, której różni różne interpretowali przyczyny”. Co do króla, to „te dawał przyczyny, iż... nie taka w królowej gładkość widział, jaka mu obiecywano... czym zaraz na pierwszym jej w kościele widzeniu stracił serce do niej. Drużdy głębiej w sprawy pańskie wglądający... a królowej smci gładkość należyta przyznawając, przypisywali króla jmcj od niej odwrócenie się złym uczynkom tych białychgłów, które we wdo-wieńskim jego stancie prywatnych z nim zażywały uciechy i konwersacji... — Pisze k... i dworzania królewski Stanisław Oświecim.

Ten stan obojętnej ze strony Władysława IV utrzymuje się, ale Maria Ludwika nie poddaje się zwątpieniu tłumacząc sobie, że zle samopoczucie króla minie (nazajutrz po weselu nie mógł jeszcze o własnych siłach przybyć ra bankiet, lecz kazał się n... w krzesle) z chwila powrotu do zdrowia. Tymczasem jednak pisze Maria Ludwika list do kardynała: „Wczoraj spędziłam dłuższy czas przy Jego łóżku. Przysłał prosić mnie o to. Polecałam, aby Mu powiedziano, że nie osmiela się odwiedzać go pierwszej, niż poznam, że Mu to przyjemnym być może... Obchodzi się ze mną bardzo ceremonialnie...”

Uplwya jednak dzień za dniem i, gdy sytuacja nie ulega poprawie, Maria Ludwika zaczyna się niepokoić. W czasie podróży do Warszawy przysłano z dworu królewskiego do Szczecina ciepłe szaty dla królowej. Maria Ludwika odnalazła między

nimi futro damskie z nazwiskiem na przypiętej karteczce. Eckenberg. Od razu nasunęło się podejrzenie. Obecnie okazuje się, że panna Rozyna Eckenberg, sama dworzyźna królowej Cecylji Renaty cieszy się szczególnymi względami króla. Mówi się również o swągatlicy królewskiej, pięknej mieszczce ze Lwowa, Jadwiźce Luszczykowskiej. Mówi się o przebranych za paziów niewiastach, które odwołują króla w jego sypialni, umilając mu czas grą na lutniach. Hm, na lutniach!... Na domiar mnożają się intygi dworzania, którzy obawiają się, że królowa „zwałdnie” małżonkiem i pozbawi faworytów wpływu na Jego Królewską Mość. Skład dworu Mari Ludwiki zostaje jej narzucony. Marszałkiem dworu królowej mianował Władysław grubiański odc wojewode Denhoffa, siabo władającego językiem polskim i wystawia-



jącego rteraz swą panią na śmieszność niezręcznymi pod względem, wysłowienia apelami w stylu: „Nie łazcie waszmoście na królową! Król jegomość gniewa się o to, kiedy waszmoście tak łazicie na królową”.

Niewyraźna sytuacja między małżonkami utrzymuje się przez parę tygodni wywołując zaniepokojenie zarówno towarzyszącej Marii Ludwice pani de Guebriant, jak i posła francuskiego, wicehrabiego de Brégy, który widocznie musiał podzielić się swymi obawami z wojewodą poznańskim Krzysztofem Opalińskim, gdyż otrzymał od niego znamienny list tej treści: „Wierność, z którą pragnę służyć mojej królowej, zniewała mnie do udzielenia jej podwójnego ostrzeżenia, które zechcesz WMPan jej zakomunikować, nie wyrażając, iż pochodzi ode mnie. A najpierw, żeby nie była tak niesmiała względem króla i wchodziła rezolutnie do jego pokoju, jak to królowa nieboszczka zwykla była czynić, bez żadnego natręctwa z jej strony. Król Jegomość bowiem bierze przeciwnie zachowanie się, za dowód niedostatecznego dlań afektu Jej Kr. Mości. Prócz tego należy jej być cokolwiek śmiałą w pieśczeniu go i udzielaniu mu miłosnych satysfakcyj, come si dice italiano: gli scherzi amorosi, ponieważ król nasz pan miłościwy „jest cokolwiek lubieżnym („lascif”) w tej materii miłosnej, co

Waszmość Pan zrozumiesz dobrze, aczkolwiek nie umiem użyć należytych do wytłumaczenia się terminów, lepiej się znając na praktyce w tych rzeczach niż na rozprawianiu o nich”.

Po tym liście wicehrabia de Brégy pisze do kardynała Mazariniego: „Królowa nie walczy jakby należało ze swoim usposobieniem o którym mówi, że nie jest z natury skłonny do pieśczoł ani do ustępstw. Kiedy jej chodzi o otrzymanie czegoś, byłoby rzeczą pożądaną, aby szła prosto do króla, przypochlebiała mu się i starała mu się być przyjemną, zamiast wdawać się z lichymi pokojowcami, będącymi przy osobie króla, którzy wszyscy są stręczycielami jego miłosnych zabawek i nie lękają się niczego więcej jak tego, aby król nie przywiązał się zanadto do królowej; na dowód czego posłużyć może świeża przysługa, która się trafiła Jego Kr. Mości u pewnych dam, gdzie wybrał się do kąpieli i skąd wrócił chory. Używa też królowa innego proceduru, którym się naraża Jego Kr. Mości, a mianowicie wielkiej ciekawości w dopytywaniu się o wszystkie jego postęпки, a także oznajmianiu mu za pośrednictwem owych pokojowców, że nie sądzi się być przezeń kochaną”.

Wreszcie osobista interwencja marszałkowej de Guebriant kładzie król dwuznacznej sytuacji. Ta nadzwyczajna kobieta-ambasador nie waha się przed wspomnieniem Jego Kr. Mości co do jego obowiązków małżeńskich. Nazajutrz po tej rozmowie „udawczy się na polowanie z królową” — pisze wicehrabia do kardynała Mazariniego — „król odwiedza za powrotem Jej Królewską Mość w Jej komnacie, i odwiedzin te przeciągają się tak długo, że rano zastał Jego Kr. Mość jeszcze w sypialni małżonki”.

Historycy zastanawiali się, komu przypada zaszczyt tego spóźnionego tryumfu? Czy pełnym uszanowania ale i stanowczosci uwagom marszałkowej de Guebriant, czy raczej podmuchom wiosny, której dobroczynny wpływ zapisuje ambasador wicehrabia de Brégy w swym pamiętniku? Płocą dworska twierdziła, że marszałkowa postarała się o to, aby znaleźć się na drodze wracającej z polowania królewskiej pary i że król miał oświadczyć, że uznione mu wczoraj uwagi nie były mu niemiłe. Zaby ocenili wymowę, dekoracyjność i scenografię, że tak powiem, finału całej historii, trzeba pamiętać, że siedemnastowieczne łoża były osłonięte tak zwanymi namiotkami czyli kotarami z baldachimem. Otóż pedantyczna marszałkowa nie ustąpiła i nie opuściła ponoc komnaty, póki nie otrzymała pozwolenia na dopelnienie ceremoniału i opuszczenie kotary na łożo połączonego nareszcie stadła.

ALEKSANDER KUC,







# SPOJRZENIE NA NIEMCY

(Dokończenie ze str. 2)

Wielki wpływ na politykę Stanów Zjednoczonych.

W ciągu całego minionego roku trwało starcie między Niemcami zachodnimi i W. Brytanią o miejsce pierwszego sojusznika Stanów Zjednoczonych. Dialog Chruszczowa — Eisenhowera, któremu uderowała niewątpliwie drogą wizyta premiera

Macmillana w Moskwie wyraźnie wskazuje, że zwycięstwo w tej walce odniosła W. Brytania. Różnice zdań między rządem brytyjskim a zachodniemieckim są tak widoczne, że Adenauer już po raz drugi przełożył termin swojej wizyty w Londynie.

Z największym jednak niepokojem przyjmowane są w Bonn wszelkie zmiany w polityce amerykańskiej dotyczącej Niemiec, a zmiany te mają miejsce i spowodowały prawdziwy szok w stolicy „żelaznego kanciera”.

Na stanowisko doradcy Białego Domu do spraw nie-

zmarłego brata, została bezpodania powodów przeniesiona na inne podrzędne stanowisko. Tym pierwszym zmianom personalnym towarzyszą zmiany zasadnicze.

Sekretarz Stanu Herter dał do zrozumienia, że Stany Zjednoczone nie mają nic przeciwko podpisaniu przez ZSRR odrębnego traktatu pokojowego z NRD, o ile nie naruszy on statusu Berlina zachodniego. To jest przeciwieństwo prawdziwej „bomba”, za status quo w Berlinie Stany Zjednoczone gotowe są uznać status quo w całym Niemczech, a więc faktycznie uznać istnienie Niemiec-

To stwierdzenie spotkało się z oburzeniem w Bonn i z próbą zatuszowania istniejących różnic między Francją a Niemcami.

Bonn w warunkach ocieplania się sytuacji międzynarodowej zaczyna być izolowane w swej polityce i staje się lodowa wysep. Znany publicysta amerykański Joseph Alsop bisze na łamach „New York Herald Tribune”: „Widmo polityki „wyzwolenia” (krajów Europy Wschodniej — przyp. J. L.) wyciskało ponure piętno na poprzedniej pozycji negocjacyjnej USA, takkolwiek polityka ta zawsze była oszu-

Również polityka berlińska Stanów Zjednoczonych nie pozostaje bez zmian. Na jednej z ostatnich konferencji prasowych prezydent Eisenhower oświadczył, że sytuacja Berlina jest „nieporozumieniem”. Tym samym należy wnioskować, że te nieporozumienia można usunąć w drodze rokowań.

W tej sytuacji, po przegraniu tegorocznej batalii o kontynuację „zimnej wojny” Adenauer — sierota po Dullesie, ma dwa wyjścia, albo udawać, że nie się nie zmieniło i płynąć pod prąd fal odpędzenia międzynarodowego, albo z kwaśną miną krzyknąć: „leż jestem za pokojem” ukrywając z powodu niesprzyjającej sytuacji swe dalekosiężne cele.

Wszystko wskazuje na to, że kierownicza ekipa NRF obrała tę drugą taktikę. W swym słynnym liście do Chruszczowa Adenauer opowiada się za powszechnym rozbrojeniem i broni się jak może przed zarzutami o rewizjonizm.

Minister obrony NRF Strauss bedąc w Kanadzie zrzucił odpowiedzialność za odrzucenie planu Rapackiego na Stany Zjednoczone, w przeciwnieństwie do głoszonej dotąd tezy, iż plan ten

jest przede wszystkim nie do przyjęcia dla NRF. Obserwatorzy polityczni w świecie upatrują w tym dowód, iż Bonn zaczyna sobie szukać turlki na wypadek, gdyby rozpoczęły się poważne rozmowy między USA i Związkiem Radzieckim na temat rozbrojenia.

Jeżeli więc rząd NRF musi zrezygnować z rachub na wojenną rozgrywkę i na tymczasowość NRD i socjalistycznej Europy Wschodniej i kiedy świat coraz głośniej przyznaje się do uznania dzisiejszego status quo w Niemczech, czyli podziału Niemiec na dwa państwa, to będzie musiał nastąpić dzień, kiedy trzeba będzie powiedzieć B. Trzebna będzie przyznać, że przyszłość Niemiec leży w pokojowym współzawodnictwie dwóch państw niemieckich. Tylko w ten sposób współistnienie w całym świecie może być wyrażone w Niemczech. W tym współzawodnictwie Niemiecka Republika Demokratyczna mieć będzie z każdym rokiem coraz więcej atutów. Wynik jego nie jest przesadzony, ale jest pewne, że bitwa o Niemcy wejdzie w swój wyższy etap.

JACEK LEBEN

mieckich został powołany Haries Bohlen, były ambasador Stanów Zjednoczonych w Moskwie i bliski współpracownik Roosevelta z czasów Jałty i Poczdamu, zesłany przez Dullesa na Filipiny. Siostra Dullesa, pani Eleanor Dulles, doradca do spraw niemieckich i referent berliński Departamentu Stanu, orędowniczka zimnowojennego kursu swego

kiej Republiki Demokratycznej. Podstawa podstaw polityki niemieckiej Adenauera została w ten sposób podważona.

Herterowi zawtórował w swoim ostatnim exposé premier Francji Debré stwierdzając w parlamencie, że: „Wszystkie granice powinny być respektowane łącznie z tą, która się zwykle nazywa linia Odra—Nysa”.

stewem politycznym. Obecnie prezydent osobiście widmo to składa do lamusa. Obecnie jesteśmy gotowi uznać status quo przyjmując bez protestu nawet odrębny traktat pokojowy między ZSRR a Niemcami wschodnimi”. Also podkreśla, że stanie się to wówczas, gdy Związek Radziecki uzna nienaruszalność praw Zachodu w Berlinie.

## JAN KOPROWSKI

Była sobota, dzień słoneczny, ostatnie chwile lipca. O godzinie ósmej minut pięć wyjechałem z wiedeńskiego dworca zachodniego (Westbahnhof) do Kirchstetten, by odwiedzić spędzającego tam już drugie z kolei lato wybitnego poetę anglo-amerykańskiego Wystana Hugh'a Audena. Po drodze oglądałem z okna wagonu krajobraz podwiedeński.

Kirchstetten, to mała wieś z kościółkiem na wzgórzu. W gospodzie przydworcowej spytałem, czy wiedzą, jak idzie się do Audena. Naturalnie, wszyscy go tu znają, chętnie też objaśniają, jak mam go szukać.

Auden mieszka na samym końcu wsi i nielato doń trafić. Po drodze pytam kilka razy o jego dom. Pokazują mi którąś iść. Krętą, prawie polną drożką, dochodząc wreszcie do celu. Na furcie wizytówka „W. H. Auden”. Odczuwam wielką treść. Idę powoli po wyłożonej płytami kamiennymi ścieżce i układam w myślach słowa, którymi powitam słynnego pisarza. Wędruję na stopnie mieszkania. Uchylają się drzwi i pokazuje się w nich głowa Audena. Przedstawiam się i łamaną angielszczyzną zapytuję, czy mogę z nim pomówić.

— O, wery well. Come in—wola Auden.

Wprowadza mnie do izby. Typowe chłopskie mieszkanie, coś jakby u naszych Górali. Na stole maszyna do pisania, rozłożone papiery i książki. Książki leżą wszędzie: na ławie, na skrzyni, na podłodze. W rogu jeszcze jeden stolik i kanapa, obok dwa kolorowe leżaki. Auden jest w szarej rozpiętej koszuli i szarych spodniach. Chodzi po izbie w skarpetkach. Wzrostu nieco więcej, niż średniego, wygląda krzepko jakby był chłopem z pochodzenia.

— Napije się pan kawy?

I nie czekając na odpowiedź wychodzi do kuchni. Za chwilę wraca z tacą i filiżankami.

— Niech pan pije. I koniecznie ze śmietaną. Tu tak zwyczaj.

Pije. Powoli wywiązuje się między nami rozmowa.

— Mieszkam stale w Nowym Jorku, ale na miesiąc letnie przyjeżdżam tutaj. Przedtem prawie przez dziesięć lat spędzałem wakacje we Włoszech, ale z roku na rok było coraz drożej i zamieniałem Włochy na Austrię. Tu jest o wiele taniej. Ten dom kupiłem od chłopca. Kuchnię urządziłem na wzór amerykański.

Idziemy do kuchni by ją obejrzeć. Jest zelektryfikowana do najdrobniejszego

szczegółu. Pełno urządzeń, o których nie mam pojęcia.

Wracamy do pokoju. Auden rzuca kilka pytań:

— A co w Polsce? Jak żyją pisarze? Ile kosztuje ubranie? Para butów?

Odpowiadam z niemałym

książek widzę leżącego na samym wierzchu „Tajnego agenta”. Rozmowa schodzi na literaturę amerykańską. Auden jest ostrożny w sądach, odpowiada wymijająco.

— O literaturze współczesnej Ameryki nie mogę się wypowiedzieć szerzej, gdyż więcej i chętniej czytam kla-

ka wśród rozrzuconych książek.

— Podaruję panu najnowszy wybór moich wierszy. Skoro tam w Polsce tak się, jak pan mówi, interesują moją poezją, niechże pan przyjmie ode mnie ten podarunek.

Przeglądam kartki tomiku i na widok cyklu sonetów, wydaję okrzyk zdziwienia.

— A tak, chętnie używam formy sonetu i w ogóle posługuję się rymem i strofą częściej, niż można przypuszczać. Nie widzę w tym nic złego. Przeciwnie. Uważam, że jeśli istnieją w poezji rygory, to nie po to, ażeby je omijać. Nie sądzę, by całkowite uwolnienie się od rygorów, które obecnie szerzy się nagminnie, wyszło poezji na dobre.

Patrzę na wiszący na ścianie zegar. Podnoszę się z krzesła i chcę już iść. Ale Auden zatrzymuje mnie ruchem ręki.

— Niech pan zostanie. Na stację odwożę pana autem. Mamy jeszcze trochę czasu.

Ciekawi mnie sąd Audena o literaturze niemieckiej.

— Znam język niemiecki i tłumaczyłem na angielski wiersze Brechta — zwraca się Auden — którego też cenię wysoko. O wiele wyżej, niż Gottfrieda Benn, który wprawdzie jest równie świetnym poetą, ale cóż to za niesympatyczny człowiek. A w ogóle muszę powiedzieć, że między Niemcami a Austriakami widzę dużą różnicę. Tu w Austrii mają więcej poczucia humoru, piszą lżej. Austriacy przypominają mi trochę Irlandczyków. Za największego pisarza uważa się tutaj Heimto Doderera, ale nie jego nie czytałem. I nie przeczytałem. Bo Doderer pisze 800-stronicowe powieści. No, niechże pan sam powie, czy można takie książki doczytać do końca?

Przed wyjazdem na stację Auden pokazuje mi jeszcze pokój w facyjacie, do którego wchodzi się z zewnątrz, po schodach. Tu najczęściej pracuję. Podobnie jak na dole, w pokojuku stół, parę foteli i książki.

Wąską miejską uliczką jedziemy „Volkswagenem” na stację. Ponieważ do przyjazdu pociągu pozostało jeszcze kilka minut, zamawiamy w gospodzie dwie bomby piwa i pijemy je przy stoliku pod drzewem.

Pociąg wjeżdża na stację. Ostatni uścisk dłoni, wpadam do wagonu, kiwając jeszcze stojącemu na peronie Audenowi ręką na pożegnanie. Tak to, będąc w Wiedniu, zupełnie nie oczekiwanie spotkałem się z Audenem. Było to jedno z najbliższych moich przeżyć z podróży po Austrii.

## BOLESŁAW DUDZIŃSKI

# Przygoda w Tatrach

Tytuł sugeruje jakąś historię turystyczną z repertuaru tatrzańskiej wspinaczki i zdobywania szczytów. Ale w książce Adama Bahdaja — jeśli nawet zachowamy dla niej „turytyczną” definicję — mowa jest o turystyce zgoła osobliwego rodzaju.

Stało się tak, iż w r. 1943 pewien łącznik organizacji podziemnej, kursujący na trasie Budapeszt—Zakopane, oskarżony został niesłusznie o przywłaszczenie dużej sumy przenoszonych pieniędzy. Dopóki sprawa nie będzie wyjaśniona, dostęp do oddziałów partyzanckich ma zamknięty, a na Węgry wracać nie może, bo właśnie okupował je hitlerowcy. Cóż więc mu pozostaje?

Samotna wólcęga po Tatrach z nadzieją, że jakiś szczęśliwy zbieg okoliczności zdejmię zeń podejrzenie, przywróci mu szacunek i zaufanie towarzyszy broni. Oczywiście, Andrzejowi grozi głód, chłód i wyczerpanie; zagrażają mu nie mniej niemieccy żandarmi i zdesperowani słowaccy dezertery. Lecz bohater Bahdaja, jest młody, zdrow i silny. Tatry zna jak własną kieszeń i to są jego atuty w niebezpiecznej grze o honor i życie.

Samotność tego turysty mimo woli trwa jednak bardzo krótko. Na jakiejś górskiej ścieżce spotyka żydowskiego chłopca, któremu udało się wymknąć z transportu. Chłopiec jest głodny, bosy i obdarty, a ponadto ma zranioną nogę. Sytuacja Andrzeja komplikuje się niepomiernie: musi teraz walczyć już nie tylko o własne życie, lecz również o ocalenie wątlęgo istnienia chłopca.

Oto ekspozycja powieści Bahdaja. Dalszy jej ciąg Czytelnik pozna bezpośrednio i osobiście, śledząc z zacięciem „wielką przygodę” obu bohaterów — liczne jej perypetie i zakończenie.

Moim natomiast obowiązkiem jest powiedzieć tutaj, że powieść Bahdaja to lektura naprawdę przyjemna i wartościowa. Ta wartość polega nie tylko na żywo prowadzonej narracji, doskonałych sylwetkach ludzi gór (np. stary obłąkany górak — poszukiwacz nie istniejących skarbów) i niebanalnych opisach

tatrzańskiej przyrody. Głównym walorem książki Bahdaja jest — moim zdaniem — panująca w niej atmosfera moralnej czystości i — powiedzielibyśmy nawet — wzniosłości, oraz nadający jej uczuciowy ton i barwę altruizm — nie czczy i deklaracyjny, lecz żywy, czynny i gorący. Któż zdoła oprzeć się wrzuceniu czytając te karty powieści, na których poświęcenie Andrzeja wobec niespodziewanego, małego towarzysza jaśnieje najpełniejszym blaskiem? ... Jest to zaiste pożądana nauka bezinteresow-



nej miłości bliźniego — nauka bez nudnej dydaktyki i zbędnych morałów.

Miałbym jednak do Bahdaja trochę pretensji. Przede wszystkim o to, że poskąpił nam biograficznych antecedenencji dotyczących osoby Andrzeja, przedstawiając go od razu w stanie „skonczonym” jako postać bohatera, naładowaną po brzegi gotowością do najtrudniejszych zmagani, ofiar i poświęceń. Zyciorys Andrzeja pokazany choćby w najogólniejszym skrócie, uwyraźniłby nam tego kawalera „orderu z księżca”, wyjaśniłby motywy jego działania, uprawdopodobniłby jego szczerą postawę moralną. Bo przyznać sami: ratować życie drugiego — obcego — człowieka, gdy się jest samemu śmiertelnie zagrożonym — to nie jest prosta ani zwykła rzecz. Chyba że — tak jak Andrzej — dojdziemy do przekonania ujętego przezeń w te słowa: „Gdy się człowiek troszczy o kogoś, zapomina o swoich smartwianach”...

\*) Adam Bahdaj „ORDER Z KSIĘŻYCA” — Łódź, „Wydawnictwo Łódzkie”, 1950. Str. 138, cena zł 13,—



# Z AUDENEM O POLSCE, AUSTRII I LITERATURZE

trudem. W pewnej chwili moja angielszczyzna staje się niewystarczająca, więc przechodzimy na niemiecki, którym Auden włada doskonale. Przedstawiam mu sytuację literatury w Polsce. Mówię, że jego twórczość ma u nas wielu zwolenników, zwłaszcza wśród młodych.

— O tym nie wiedziałem. To mnie bardzo cieszy. Nieestety, nie znam ani słowa po polsku. Ale dla antologii mikiewiczowskiej w Ameryce przetłumaczyłem jeden wiersz Mickiewicza „Romantyczność”. Podobno nawet nieźle. Oczywiście posługując się przykładem filologicznym. Z pisarzy polskich znam jedynie Czesława Miłosza, z którym spotkałem się w Paryżu. Lubię czytać waszego rodaka Conrada. O. widzi pan, mam tu nawet jedną z jego powieści.

Istotnie, wśród stosu

syków. Wiąże się to z moimi wykładami na uniwersytecie. Na przykład w marcu roku przyszłego wyjadę na kilka miesięcy do Anglii, gdzie będę wykladał w Oxfordzie. Zapewne wielu jest w Ameryce utalentowanych pisarzy zarówno wśród starych jak i młodych, ale o ich twórczości wypowiadają się krytycy. Ja nie jestem krytykiem. A wreszcie, poza wykładami, muszę też pisać, więc skąd wziąć tyle czasu na czytanie wszystkiego, co się obecnie ukazuje. O sobie i swoich planach Auden również mówi niechętnie.

— Widzi pan, jestem człowiekiem przesadnym i nie lubię zwierzać się z tego, co piszę lub co mam w zanadrzu. Dopiero gdy rzecz ukończę, o tak, wtedy rad jestem, gdy mogę z kimś na ten temat pogwarzyć.

Auden wstaje i czegoś szu-





W Dżibuti także nie wolno fotografować. Trzeba było bardzo uważać. Oto jak wygląda ulica zamieszkała przez Europejczyków.

Teraz przed nami krótki przelot do Dżibuti. Sceneria ciągle taka sama. Tylko upał coraz większy. Od kilku dni jestem przekonany, że piekło jest nieczym, że wyższe temperatury nie istnieją w ogóle. Ale każdy następny dzień dowodnie przekonuje mnie, że doprawdy nie jeszcze na temat gorąca nie wiem. Chodźmy północy. Chodźmy? To za dużo powiedziane. Snujemy się. Jak żyją tam na dole w maszynowni w tym potwornym upale i ryku 9 tysięcy koni mechanicznych tego moje pióro nie odda.

Kto tylko ma wolne — szuka jakiegoś możliwie cieniściego kąta i leży. Każdy ruch, wyciska na całym ciele rześisty pot. Prześcieradło przykleja się do ciała. Spimy oczywiście bez pościeli, ale i to niewiele pomaga. Noce są bardzo trudne do przetrzymania. Parne, gęste, gorące. Nocami uciekamy z kajut na pokład. Rozstawiamy leżaki i tak próbujemy przetrwać do rana. Wstajemy zmęczeni i niewyspani. Pokryci parującą wilgocią. Reumatyzm to zawodowa choroba marynarzy.

#### PRZEBIEGLI ANGLICY

Opuszczamy Morze Czerwone i wpływamy do Zatok Adenijskiej. Mijamy dziesiątki tankowców płynących pod banderami różnych krajów. Wszystkie płyną z Adenu. Pełne „wschodniego złota” — ropy. Aden to jeden z najważniejszych portów „bunkrowych” w drodze do Azji. Oczywiście — jak wszystkie węzłowe porty należy do Anglików. Nieodparcie nasuwa się myśl o przebiegłości angielskiej polityki kolonialnej. Żeglowne po morzach świata dzięki w tej sprawie bardzo pogłębionej lekcji. Spróbujcie bowiem płynąć z Europy do Azji lub odwrotnie omijając Cieśninę Gibraltarską (kontrolowaną z wysokości twierdzy przez Anglików). Kanał Sueski (jeszcze niedawno pod kontrolą Anglików), Hong-Kong, Singapur. Obsadzenie tak ważnych portów zapewnia nie tylko kolosalne dochody, ale daje także możliwości wpływu na wydarzenia w tym rejonie. Tym bardziej że wszędzie tam mieszczą się angielskie bazy wojskowe.

My jednak jak już wspo-

minałem nie płyniemy do angielskiego Adenu, lecz do położonego także w Zatoce naprzeciwko Adenu, francuskiego Dżibuti. Francuskie? No w każdym razie pod francuską kontrolą.

#### DŻIBUTI

Somali jest półwyspem we wschodniej Afryce między Zatoką Adenijską a Oceanem Indyjskim, sięga aż po słynny przylądek Guardafui. Somali zamieszkuje głównie stare plemiona murzańskie: Somali i Galla — są to w większości wyznaw-

my portowe zabudowania, dalej wśród zieleni kilka bardzo ładnych willi, które należą do białych urzędników. Potem budynek klubu sportowego, boisko koszykówki i korty tenisowe. Załoga okrętu wojennego rozgrywa właśnie mecz z reprezentacją białych mieszkańców Dżibuti. Choć jest już wieczór, upał jest tak potworny, że mimo iż rozegraliśmy się niemal zupełnie cięła nasze mokre są od potu. Wleczmy się noga za nogą.

#### WIESŁAW GÓRECKI

# Wrota Abisynii...

cy islamu. Politycznie Somali dzieli się na trzy części, z których dwie pozostałe pozostają pod kontrolą Włoch i Brytanii.

Somali Francuskie to małe kawałek lądu ciasno wtłoczony między Abisynię i Somali Brytyjskie. Mieszka tu zaledwie około 70 tysięcy tubylców i kilkudziesięciu białych.

Wpływamy teraz na wody cieśniny Bab-el-Mandeb. Z dala widać już wysokie góry Abisynii. Wczesnym wieczorem jesteśmy w Dżibuti — stolicy Somali Francuskiego i porcie bunkrowym, który stanowi konkurencję dla Adenu.

Port jest mały. Prócz nas stoi tu jeszcze trochę kutrów rybackich i jeden francuski okręt wojenny. Gdy wchodzi się do portu morze znika nagle i wydaje się, że miasto leży nad niewielkim jeziorem otoczonym koroną dzikich wysokich gór.

Miasto położone jest o 5 kilometrów od portu. Komunikacji żadnej. Nieliczni biali mają swoje samochody (oczywiście z klimatyzacją). Czarni mogą chodzić pieszo.

Kupcy rozłożyli już przed statkiem towary. Koszule, spodnie z tropiku, szorty, napażki, pantofle, kolorowe kubki. Tandetna psotkaczna. Drogo.

Idziemy do miasta. Mija-

gorkowata i wyżyna, miejscami nizinna i bagnista posiada także stepowe obszary wyżynne przechodzące w pustynie. Klimat suchy, bardzo gorący. Rozwija się tu głównie koczownicza hodowla owiec, rybołówstwo. Po nadto export soli i skór.

#### OBIECANKI... CACANKI

Skąd więc znaczenie Dżibuti? Oczywiście, po pierwsze port, który ma duże możliwości rozwoju. Po drugie, Dżibuti ma połączenie kolejowe ze stolicą Abisynii — Addis-Abeba. Jest to zresztą jedyne połączenie kolejowe, jakie posiada Abisynia. Tak więc cały eksport i import Abisynii musi odbywać się właśnie przez Dżibuti. Kto ma Dżibuti, ten trzyma w ręku wiele problemów Etiopii.

Somali od wielu lat ma przyrzeczoną niepodległość. Problem polega jednak na tym, że aby egzystować wszystkie trzy sztucznie rozczłonkowane terytoria (francuskie, brytyjskie i włoskie) muszą otrzymać niepodległość. I to także nie rozwiąże wszystkich problemów. Kraj pozbawiony jest bowiem zupełnie inteligencji (w przeciwieństwie do wielu innych krajów Afryki). Nie posiada także żadnego przemysłu ani zorganizowanej na skalę przemysłową eksploatacji bogactw naturalnych.

Jak dotąd — mimo obietnic — Francuzi nie wykazują skłonności do opuszczenia Somali. Odbywając rejs przez porty Europy, Afryki i Azji, wyjątkowo często zdarzało mi się w Afryce i Azji trafić na zamachy stanu, strajki, powstania i inne podobne burzliwe wydarzenia. Myślę, że to nie był przypadek ani wyjątkowa sytuacja. Był to chyba po prostu wynik dość powszechnie znanego już dziś faktu, że na tych dwóch kontynentach zachodzą dzieła się wydarzenia, które w Europie stanowią już historię.

świadczyły raczej o tym, że Somali solidarnie popiera zamierzenia De Gaulle'a. Wtedy ludność postanowiła zmanifestować, że jest to nieprawda. Odbyły się demonstracje protestacyjne. Demonstracje te poparte były przez miejscowy rząd. Wtedy właśnie do akcji wkroczył garnizon francuski. Byli zabici i ranni. Premier miejscowego rządu mimo, że pochodził z jak najbardziej legalnych wyborów, kontrolowanych i zatwierdzonych przez Francuzów został natychmiast „zdejęty” z dwóch ministrów aresztowano. Krótkie komunikaty obwieściły światu, że porządek został przywrócony.

Stojący w porcie francuski okręt wojenny ma działa skierowane na miasto. To tylko takie memento dla nieposłusznym. Kolejne rządy francuskie miały już okazję wiele razy przekonać się jak delikatnie mówiąc nierozsądna jest francuska polityka kolonialna. Ale jak dotąd wbrew przysłówiu nauka idzie w las.

#### NA KURSIE INDONEZJA

O 4 nad ranem opuszczamy Dżibuti. W przeciągu kilku godzin mijamy aż trzy polskie statki. Najpierw idące z portów dalekiego Wschodu do kraju, „Przyszłość” i „Małgorzatę Fornalską”, a potem idące w tym samym co i my kierunku „Żeromskiego”. Zupełnie jakby płynęły tu tylko polskie statki.

Wpływamy teraz na Ocean Indyjski. Dokoła monotonny bezkres wody. Nawet oka nie ma o co zaczepić. Niebo jak rozgrzana blacha, bez obłoków. Będzie to trwało kilkanaście dni. Mamy przepłynąć cały Ocean Indyjski aż do Sunda Strait (Zatoka Sunda). Nasz kurs prowadzi do leżącej na Jawie stolicy Indonezji — Dżakarty.

Przez kilka nocy o 4 nad

Dla kogoś kto widział Afrykę lub Azję staje się jasne, że często powtarzane słowa (tylko kiepska propaganda robi z tego frazesy) o budzeniu się Afryki i Azji nie są sloganem. Są to fakty widoczne nawet dla bardzo powierzchownych obserwatorów.

W czasie mego rejsu dane mi było trafić kilka razy na okres niepokoju i burzliwych wydarzeń (Sudan, Syjam, Malaje, Singapur). Do Dżibuti także przybyłem krótko po bardzo burzliwych wydarzeniach. Opowiadał mi o tych wydarzeniach pewien młody, pastuch, świetnie mówiący po francusku i — nie mam zamiaru idealizować swego rozmówcy ale fakty rzecz uparta — błyskotliwiej choć prymitywnej inteligencji.

#### PORZĄDEK PRZYWRÓCONO...

Premier miejscowego rządu oraz minister spraw wewnętrznych i minister pracy w czasie rozpisanego przez rząd De Gaulle'a referendum zajęli odmiennie od rządu francuskiego stanowisko. Tak jak i większość mieszkańców Somali Francuskiego. Kiedy ogłoszono wyniki referendum, okazało się jednak, że nad nami dokonano jakiegoś cudu, bo ogłoszone wyniki

nie. Dwóch marynarzy spodziewa się, że ich żony powinny właśnie urodzić. Chodzą zdenerwowani, ciągle męczą radioficera zwanego tu po prostu „radio”, aby ponawiał próby połączenia się z krajem. Ale wysiłki pozostają bezskuteczne.

Trochę ożywienia na statku wywołuje wiadomość, że już za kilka dni przepływamy równik. Odbędzie się więc tradycyjny chrzest. Za czynają się przygotowania. Pisanie tradycyjnych tekstów wierszyków, mów i piosenek. Komitet organizacyjny ustala rolę. Kto będzie Neptunem, kto jego żoną Prozerpiną, Trytonem, rusalkami, diabłami, lekarzem. Zresztą nie sposób wymieniać tu całej świty Rex Neptuna. Stroje potrzebne dla postaci kobiecych (będą to oczywiście przebrani marynarze) została nam — niech ją Neptun wynagrodzi — żona pewnego polskiego dyplomaty, która płynęła z nami do Egiptu.

Trwają więc intensywnie przygotowania. Robi się stroje dla Neptuna i jego świty oraz przygotowane narzędzia tortur. Jest nas na statku 17 niewiernych, którzy nie przepływali jeszcze równika.

Wieczór. Jutro wczesnym popołudniem minie równik. O godzinie 18,30 „naburtę” przybywa Tryton — Marszałek dworu Jego Królewskiej Mości Neptuna, wraz z diabłami i rusalkami. Tryton odziany jest w srebrzystą zbroję. Rusalki wyglądają jak prawdziwe piękne dziewczęta (białych kobiet nie widzieliśmy już od kilku tygodni). Syrena okrętowa ogłaszającym wyściem zawiadamia o przybyciu Trytona. Gromadzimy się wszyscy na pokładzie łodzi. W ostrym świetle reflektorów widać dwa białe nakryte stołki. Butelka ginu, wino, kanapki, woda mineralna.

Tryton wygłasza długie przemówienie w archaicznym stylu i wręcza kapitanowi list od Neptuna. Kapitan natomiast wręcza Trytonowi list „niewiernych”. Rozpoczyna się wymiana toastów. Wino okazuje się być zmieszane z morską wodą i oliwą. Pierwsze dwie kanapki zamiast serem obłożone są mydłem. Ale kapitan i Tryton bez zmużenia oka spełniają toasty i zagryzają kanapkami. Następne kielszki będą o'ky, zdają się mówić ich miny. Wiadomo, Angielski gin pachnie najprawdziwszym polskim lasem.

„Niewierni” zostają wywołani przed oblicze zgromadzonej załogi i ustawieni w szeregu. Teraz zaczyna się swe harce diabły. Są unarzeni czarnym mazutem, oliwą i sadzami. Biją nas zrobotyzowani z lin okrętowych ogonami, smarują sadzami. Zostajemy oficjalnie powiadomieni, że jutro dostąpimy największego z zaszczytów — będziemy mogli — jeśli okażemy się dzielni i wytrzymali — zostać zaliczeni do wiernych Jego Królewskiej Mości Rex Neptuna. Ano zobaczymy co przyniesie jutro. Czy starczy nam wytrzymałości i odwagi? Jutro równik. A za cztery dni Dżakarta.

#### ZA TYDZIEŃ:

INDONEZJA WIEK XX... CHRZEST, CZYLI JAK ZOSTAŁEM SŁEDZIEM... MARTWY LEW... WIEK XX?... W PRIAKU SA DZIEWCZĘTA Z BALL...

odpisy str. 9



# FILM na ŚWIECIE

Opracowała  
M. KORNATOWSKA

EUROPA BY RIGAT ■ „RIFI” PO RAZ DRUGI ■ NOWY FILM FELLINIEGO

Wybitny włoski reżyser Blasetti, znany w Polsce m.in. jako twórca „Naszyc czasów” i „Podróży w nieznane” zrealizował obecnie barwny film widowiskowy pt. „Noce Europy”. Jest to rewia najsłynniejszych kabaretów i nocnych lokali wielkich miast Europy: Londynu, Paryża, Rzymu, Madrytu, Berlina itp.

„Nocny świat — oświadczył twórca — ascynował mnie zawsze swoim nieodpartym urokiem. Jest to ogromne, cudowne widowisko. Widowisko roziskrzone tysiącem barw, tak bardzo wzruszające i tak radosne”.

Najsłynniejsze zespoły, najznakomitsi soliści. Najgłośniejsze przeboje. Taniec i piosenka. By zachować w pełni nastrój i oryginalny koloryt — Blasetti kreślił każdy epizod na miejscu. Pochłonęło to niemało trudu i pieniędzy, ale rezultat jest doprawdy znakomity.

Laureat tegorocznego festiwalu w Wenecji, twórca „Wielkiej wojny” Mario Monicelli, zrealizował właśnie nową, przeżabawą komedię pt. „Goiab”. Jest to ni mniej ni więcej tylko parodia wyświeczonego u nas niedawno filmu „Rififi”. Banda gangsterów szykuje wielkie włamanie. Podobnie jak w „Rififi” zakradają się oni do pustego mieszkania i zaczynają wiercić dziurę w murze. Mijają godziny mozolnego wysiłku. Napięcie wzrasta. No nareszcie, ściana została przebita! Ale cóż? Zamiast złota i kosztowności oczom zdumionych gangsterów przedstawia się zgola inny, choć trzeba przyznać pociągający widok. Dziura, która przebili w ścianie prowadziła prosto do kuchni. Młast kasy pancernej rozpruto lodówkę. Znalezione w niej wiktualy wystarczyły na obfitą i urozmaiconą ucztę. Pokrzepieni na ciele (no i dla ducha coś się znalazło) gangsterzy udali się o świecie na poszukiwanie jakiegoś zajęcia. Komedia Monicelli wykorzystuje dowcip słowny i sytuacyjny. Reżyser zreczenie wplotł w kanwę filmu wiele pomysłowych gagów opartych w dużej mierze na walce człowieka ze złośliwością przedmiotów martwych. W roli głównej



Claire Kelly

występuje świetny komik Toto.

Nocne lokale, bogate salony, szalony rytm jazzu, szal zabawy, dzielne orgie i rozpusta — oto „Słodkie życie” tak jak je maluje moralista ekranu Federico Fellini. Życie ludzi zbyt bogatych i zbyt szczęśliwych. Tych, którzy mają wszystko i nie mają nic. Bohaterem „Słodkiego życia” jest młody dziennikarz (Marcello Mastroianni), będący swego rodzaju kontynuacją postaci Morąlela z „Walko-

ni”. Będzie to chyba najdrażniejszy, najbardziej polemiczny i okrutny film w twórczości Felliniego. Nawet strip-tease (w wykonaniu Nadi Grey) „posłuży do lepszego odmalowania środowiska”.

„Nie chodzi mi wcale o eskponowanie ciała bohaterki — oświadczył Fellini — lecz o jej twarz i twarze pozostałych gości (scena rozgrywa się na przyjęciu w bogatym rzymskim domu). Chodzi mi o reakcje uczuciowe i psychiczne tych ludzi zdradzające siły, które są motorem ich postępowania”.



Zofia Marcinkowska i Henryk Boukotowski w filmie „Nikt nie wola”. (foto: A. Murzyński)

JERZY SKOLIMOWSKI

## 12 zdumiewających ludzi

1. Zdumiewająca jest prostota formy „12 gniewnych ludzi”. Film trwa 100 minut, 95 minut kamera znajduje się w pokoju, niewielkim pokoju, w którym radzą sędziowie przysięgli. Notabene zadziwiający jest fakt, że kamera na pozostałe 5 minut opuszcza ten pokój, lecz to zdumienie skwituję w punkcie 12.

2. Zdumiewający humanizm tego filmu. Oskarżony popełnił zbrodnię, zabił swego ojca — jest winny — tak stwierdziło 11 sędziów przysięgłych. Dwunasty powiedział: „oskarżony za pewne zabił ojca — nie mogę powiedzieć, że jest winny, nie mając pewności”. W kilka godzin później nikt nie miał już wątpliwości — wyrok wydano jednomyślnie. Oby zawsze co dwunasty członek społeczeństwa w odpowiedniej chwili zwątpił.

3. Zdumiewający optymizm. Kończy się film — rozstają się dwaj ludzie, którzy wspólnie walczyli o życie obcego człowieka — co ich łączy, jaki w tym mieli interes? — oto ich dialog: — „Jak pan się właściwie nazywa?” — „Davis”. Ci ludzie nawet się nie znali. Nawet

w epoce dziarskich produkcyjniaków, nawet w najbardziej kolorowej komedii muzycznej, nawet w najsurowszym filmie poetyckim — nie zdołano pokazać tylu ludzi, o których powiemy, są piękni.

4. Zdumiewający uniwersalizm. „Jak pan się właściwie nazywa?” „Davis”. Davis, czyli Dupont, czyli Johansen, czyli Kowalski. 12 zdumiewających ludzi urodziło się wszędzie, pod każdą szerokością geograficzną. Urodziło się 12 ludzi.

5. Zdumiewający test psychologiczny. 12 postaci, to 12 konstrukcji psychicznych. Dydaktyka jest prosta: widz zawsze szuka siebie na ekranie, można tylko wyrazić życzenie: ludzie, odnajdujcie się w Fondzie!

6. Zdumiewający scenariusz (Reginalda Rose) jest wiernie przeniesionym na ekran kina tekstem sztuki telewizyjnej. XI muza, „niepoprawna złodziejka”, niespodziewanie zrobiła prezent starszemu bratu.

7. Zdumiewająca reżyseria (Sydney Lumet), aktorstwo (Henry Fonda), zdjęcia (Robert Markell) — (Andrzej Wajda obejrzał i powiedział: „To niebawem, jak to jest zrobione. 12 zwyczajnych facetów i żaden z nich nie jest ślepy, ani kulawy”).

8. Zdumiewające ryzyko podjął Henry Fonda, produkując film za własne pieniądze. Bussines jest bussines. Film dostał Nagrodę Złotego Niedźwiedzia (Grand Prix Berlin, 1957), a Fonda z wielokrotnione wkłady.

9. Zdumiewające, że w całej obsadzie aktorskiej, wraz z epizodami, nie ma ani jednej kobiety.

10. Zdumiewająco poprawny dubbing. To dużo.

11. Zdumiewająco poprawna reakcja publiczności. To bardzo dużo.

12. Zdumiewające, że pisząc o tym znakomitym filmie, mogę zrobić krytyczną uwagę 5 minut, które rozgrywa się poza pokojem przysięgłych — ekspozycja i finał filmu — aż się prosi, aby dokończyć oszustwa na rzecz formy i nie wynosząc kamery z pokoju otworzyć szeroko drzwi sali sądowej i w tych szeroko otwartych drzwiach rozegrać pierwszą i ostatnią scenę: — „Jak pan się właściwie nazywa?”

JERZY SKOLIMOWSKI

EDWARD ETLER

## WAJDA KWIATKOWSKA CYBULSKI I WY

Spotkało się troje ludzi. Spotkało się na scenie. Pan w ciemnym garniturze, pan w ciemnych okularach i pani o ciemnych oczach. Spotkali się w blasku reflektorów, w Krakowie, 18 października 1959 roku.

Ten młody mężczyzna w ciemnym garniturze to Andrzej Wajda, zbiegiem okoliczności autor najlepszych filmów polskich, chłopak w okularach, podobny do Maćka Chelmickiego z „Popiołu i diamentu” — to Zbyszek Cybulski, a dziewczyna w wieczorowej sukni z białoliliowej lamy — to Basia Kwiatkowska, najpopularniejsza gwiazdka naszego ekranu. Zresztą cała trójka to sami „najpopularniejsi”. Przynajmniej wg zgodnej opinii krakowskich kinomanów, opinii wyrażającej się zdecydowanym wynikiem cyfrowym:

„Popiół i diament” — 1218 głosów przed filmem „Ewa chce spać” (głosów 435). Nagroda dla Andrzeja Wajdy.

Barbara Kwiatkowska — 1479 głosów przed Barbarą Połomską (głosów 377).

Zbigniew Cybulski — 1044 głosy. Następny na liście jest Tadeusz Fijewski, bohater anatolowej serii (głosów 928).

Nawiasem mówiąc obecny na sali reżyser Rajmund Polański, autor znakomitych „Dwóch ludzi z szafa”, miał 1 (jeden) głos: Barbary „tak”, pozyskane w dniu ślubu.

Omawiana impreza uświetniła konkurs tamtejszej Ekspozytury Centrali Wynajmu Filmów, zorganizowany przez tę placówkę wspólnie z „Gazetą Krakowską”. Imprezie przewodził znany aktor (i mąż Miss Polonii, Alicji Bobrowskiej) pan Stanisław Zaczek, ostatni jak się zdaje dowcipny mieszkaniec podwawelskiego grodu. Za jego to sprawą padło m. in. pytanie:

— Pani Barbaro, jaki klejnot jest najgustowniejszy?

— Obrączka! — odpowiedziała bez namyślu Kwiatkowska.

Zresztą wszyscy zaproszeni laureaci mówili dużo i ciekawie, przede wszystkim o sobie, a potem o sobie nawzajem. Dowiedzieliśmy się przy okazji, że z początkiem listopada „Popiół i diament” będzie miał swą reprezentacyjną premierę

w kinie na Polach Elizejskich w Paryżu, że w związku z tym Wajda i Cybulski udadzą się tamże w towarzystwie Ewy Krzyżewskiej. Usłyszeliśmy także, że Cybulski bawił już raz w Paryżu i z zimnej chęci zysku pracował w wytwórni plastikowych kwiatów. (Zbigniew wykonywał słupki do tulipanów, Bogumił Kobiela lilie). Następne dwie ciekawostki dotyczą filmu i motoryzacji: Film Andrzeja Wajdy, nakręcony wg scenariusza Jerzego Andrzejewskiego i Jerzego Skolimowskiego (pt. „Niewinni czarodzieje”) jest już na ukończeniu, brak mu tylko muzyki, nagrywanej obecnie w Łodzi. Cybulskiemu skradziono motocykl (Jawę 250), ale uciążliwy złodziej zwrócił ramaka po dniach paru — niestety bez gaźnika, (ale za to z kartką, zawierającą słowa przeproszenia).

Spotkało się troje ludzi. Spotkali się z publicznością, która ich lubi. Spotkali się na krótko: nazajutrz Wajda udaje się za granicę, Cybulski wraca do Gdańska, gdzie nakręcane są ostatnie zdjęcia „Dowiedzenia do jutra”, a na Basię czeka w Warszawie ekipa filmu „Yeti”. Spotkali się z publicznością, która chętnie z nimi pogawędziła. Szkoda, że nie spotkali się w Łodzi.

Ostatnie dedykuję naszej Ekspozyturze Cewuefu. Sądzę, że warto by i u nas zorganizować podobny konkurs także.

str.  
10

podłosa

Nowinki krajowe





### Informacje

Jak się dowiadujemy, w najbliższych dniach „Motozbyt” ma przekazać sprzedaż ratalną pojazdów mechanicznych do przedsiębiorstwa Obsługi Sprzedaży Ratalnej „ORS”. Tryb postępowania będzie podobny, jak przy zakupie innych towarów przemysłowych (motocykli, telewizorów itp.); klienci po udzieleniu im przez „ORS” kredytu na sprzedaż ratalną, będą zakupywali pojazdy w dalszym ciągu w dotychczasowych placówkach „Motozbyt”.

Po uzyskaniu szczegółów tej sprawy, nie omisszamy powiadomić o tym naszych Czytelników.



„Klienci, kupujący w „Motozbycie” samochody produkcji radzieckiej i czeskiej nie



otrzymują przy zawieraniu transakcji książeczek instruktorskich w języku polskim? Wydaje nam się, iż jest to duży niedopatrzeniem „Motozbyt” względnie „Motoimportu” (który te wozy sprowadza do kraju).



„na mieście mówią, iż nowy Główny Architekt miasta Łodzi mgr inż. Sobolewski jest gorącym zwolennikiem motoryzacji i sprawy te (garaże, stacje obsługi), sychają ustawnie na „bocznym tor” w pracy Wydziału Archi-



tektury i Nadzoru Budowlanego za jego poprzednika, znajdują wreszcie właściwe zrozumienie i odpowiednią rangę...

„wśród kierowców kursuje pogłoska, jakoby zakaz postępu samochodów na ulicy Traugutta miał jakiś związek z uruchomieniem strzeżonego

parkingu na rogu ulicy Zielonej i alei Kościuszki...

### Komu wierzyć?

Łódźki „Express Ilustrowany” w Nr 212 (851) z dnia 9 września br. doniósł:

„Od soboty przed gmachem III Szkoły TPI przy ul. Sienkiewicza stał bez żadnej opieki samochód marki „Warszawa” ze znakami rejestracyjnymi stolicy (WB 39-64 — dop. nasz). Zwrócił na to uwagę reporter „Expressu”. Wydało mu się podejrzane, że kierunkowskaz jest złamany (u „Warszawy” — przyp. nasz), a wewnątrz wozu walają się bezładnie cenne narzędzia lekarskie, drobiazgi osobiste i większa ilość pieniędzy, choć drzwi są otwarte. Zawładomil więc milicję. Milicja skontaktowała się z Warszawą. Jak się okazało samochód został tam skradziony w piątek dr Zbigniewowi Deszkiewiczowi” (podkr. nasze).

Brawo reporter „Expressu”! Ale oto Nr 37 (386) tygodnika „Motor” z dnia 13 września br. wyjaśnił autorytatywnie:

„Jak informuje Milicja Obywatelska od wielu miesięcy nie udało się w Warszawie ani jedna kradzież samochodu.”

Brawo Milicja Obywatelska! Tylko komu tu teraz wierzyć?!

### Kulisy Wielkiego Śledztwa

# Listy dyplomaty

Poniżej drukujemy dwa spośród kilkunastu listów, jakie otrzymała p. Leokadia od pracowniczki Ministerstwa Spraw Zagranicznych w Bonn — Leokadii Koch.

Listy te pisane były w języku niemieckim i mimo iż owe panie łączą bliskie pokrewieństwo nie ma w nich miejsca na rodzinne czułości, ale dotyczą one wyłącznie interesującej nas sprawy.

List z datą 30. X. 1956 r.

#### KOCHANA LOLU!

Twój miły list z 16. 10. 56 r. otrzymaliśmy i cieszymy się Twoimi osiągnięciami. Na początek sprawę powierzyliśmy pewnemu biurowi adwokackiemu, które obecnie zajmuje się kompletowaniem dokumentów. Stąd też prosba abyś nam jak najszybciej przysłała żądane papiery.

Kochana Lolu! Czy Ty dowiadywałaś się o dokument zawierający związek małżeński przez Johana Gottlieba Brandta w Królewskich Dębach? Jak nam

wiadomo Johan Gottlieb B. ożenił się w Królewskich Dębach. Prócz tego proszę Cię ażebyś przysłała nam metrykę urodzenia i dokument zawarcia związku małżeńskiego Twojego ojca jak również akt jego zgonu. Nie zapomnij też o metryce urodzenia swojej i Mietka.

Całuję Cię  
Twoja Lili.

List z datą 7. XII. 1956 r.

#### KOCHANA LOLU!

List Twój z dnia 28. XI. 1956 r. otrzymałam. Nie mogę przy tym wątpić, że był on napisany za Twoją zgodą, jednak byłabym pewniejsza, gdybyś Ty osobiście kilka słów dołączyła. W dzisiejszych czasach i w tak ważnej jak ta sprawie trzeba być bardzo ostrożnym, gdyż można popełnić błąd i ścigać na siebie administracyjne kary.

Jak wiesz, dobrze żyliśmy w Polsce i nie mamy nic przeciwko narodowi polskiemu, jeśli tak można nazwać to, że nie wyrażamy obawy, ażeby sprawa spadku zajęła się Polska Ambasada w Holandii.

Niestety, jeszcze na razie powinniśmy zaczekać z wszczęciem procesu. Cała sprawa tkwi obecnie w stadium przygotowań wstępnych. Jest Ci wiadomo, że przodkowie nasi niejednokrotnie próbowali coś zdziałać w tej sprawie jednak jak dotąd wyników żadnych nie osiągnęli.

Nasze wiadomości o sprawie to jedynie ustne przekazania ojca, wuja Bertholda i ciotki Ottilie. Musimy je więc jeszcze raz dokładnie sprawdzić.

Z Twojego listu wynika, że Tobie po drugiej stronie jest wszystko znane. Jak nam powiada wuj Edmund posiadają wszystkie dokumenty prócz jednego. (Chodzi tu niewątpliwie o ustalenie imienia ojca Gottlieba - K.B.). Natomiast ciotka Kasia, która też coś w tej sprawie wiedziała ku naszemu osobistemu nieszczęściu zaginęła w czasie wojny.

Chodzi nam o to ażeby dokładnie ustalić czy to rzeczywiście my jesteśmy prawnymi spadkobiercami. Ponadto powinniśmy poznać szlachetne dokumenty naszego rodu w Holandii. W tym właśnie celu wynajęliśmy tutaj zręcznych adwokatów: dr Johana G. Lohmanne, Zygmunta Puppe ma Rhode, którzy intensywnie przygotowują się do wyświetlenia całej sprawy. Poza tym staramy się poważnie porozumieć z adwokatami w Holandii i

oczekujemy od Ciebie obciążonych dokumentów.

Z prawa międzynarodowego wynika, że spadku nie może objąć żaden spadkobierca oddzielnie ponieważ wszystkich potomków J.K.B. równy jest udział w tym spadku. Dopóki trwa proces wniosek o przyznanie spadku nie posiada znaczenia.

Przygotowując tutaj sprawę prosimy Cię o podanie nam dat urodzenia i zgonu oraz innych dokumentów pozostałych krewnych żyjących w Polsce. Obojętne jest dla nas, jaką przynależność państwową posiadają spadkobiercy to znaczy do jakiego narodu się przynajają.

Krótko mówiąc chcę przez to powiedzieć, że sprawa ta leży w naszym obopólnym interesie. Może Wy macie sposobność otrzymania od państwa polskiego i jego organów pomocniczych jak Ambasada i Konsulat jakiegokolwiek wyreczenia w kosztach.

Może jest nawet możliwe, że od razu zajma się ustaleniem danych jak np.:

- 1) Dokładne nazwiska spadkobierców, kiedy i gdzie żyli, kiedy i gdzie zmarli
- 2) Dokładne ustalenie wielkości spuścizny pośmiertnej
- 3) Wykaz genealogii rodu. Dopiero gdy wspomniane punkty staną się jasne i bezsporne możemy rozpocząć starania u rządu holenderskiego.

Jak więc widzisz cała sprawa jest bardzo skomplikowana a wynik jej nieznany. W każdym bądź razie powinniśmy ustalić się gępiem popelnionych przez naszych przodków, kiedy to jeden przed drugim ukrywał posiadane dokumenty i każdy pojedynczo w tajemnicy przed innymi starał się o spadek.

Ażeby czasu nie tracić proszę Cię abyś odpisy dokumentów natychmiast wysłała, gdyż tylko w ten sposób będziemy mogli rozpocząć starania, zbierając informacje czy w ogóle ten mityczny spadek do naszej rodziny należy.

Liliy i Ursel  
K.B.

P.S. W NASTĘPNYM NUMERZE W SPRAWIE WIELKIEGO ŚLEDZTWA ZABIERZE GŁOS ANDRZEJ BRYCHT, KTÓRY ZEBRAŁ JUŻ MATERIAŁY DOWODZĄCE NIEZBICIE, ŻE JEDYNYMI PRAWOWYMI SPADKOBIERCAMI SKARBU MOŻE EWENTUALNIE OKAZAĆ SIĘ RODZINA PINNO.

## Mieszkańcy

pod redakcją JANA HUSZCZY

### Kłopoty z wychowaniem

Syna mamy. Wspólnie z żoną staramy się go wychowywać. Na razie na grzecznego chłopca. Potem jeżeli się uda, na porządnego obywatela. Ale od dawna mamy z tym kłopoty. Czasem wcale poważne kłopoty.

Idzie syn do sklepiku, który znajduje się obok domu, po cukier. Ale po godzinie wraca bez cukru, a za to z płaczem.

— Gdzie cukier, synku?

— Nie dali!

— Jak to: nie dali?

— A bo... a bo... jak stałem w kolejce, to mnie dorosli odpychali do tyłu!

— Dlaczego?

— Bo mówili, że ja mam czas, a oni się śpieszą... I tak się śpieszyli, że nikt mnie nie zauważył.

— A co na to pani sprzedawczyni?

— Pani sprzedawczyni? Ona też śpieszyła się... Śpieszyła się, żeby załatwić dorosłych... Tatusiu!

— Przestań beczeć nareszcie!

— Tatusiu ja już więcej nie pójde do sklepu. Wolę pić herbatę bez cukru... I bez rogalika...

— Przestań że, Jerzyku! Wkrótce będą twoje urodziny, to zapomnimy o wszystkich żalach!

— A kiedy będą moje urodziny?

— No, przecież za tydzień!... Sam podkreśliłeś w kalendarzu ten dzień czerwonym ołówkiem!

— Aha!

Na urodziny syn otrzymał dwie małe rakiety z siatką i celuloidową piłeczką do ping-ponga. Bardzo się cieszył, gdyż interesuje się sportem. Ale już nazajutrz piłeczka rozkleiła się, od rakiety odpadła rączka.

Synek mówił, ledwie wstrzymując szloch:

— Tak jak ja zrobię kleksa w zeszytce, tatusi targa mnie za ucho i pani w szkole zwraca mi uwagę, a jak dorosli zrobili takie piłki i rakiety, to tatusi nie idzie, żeby ich wytargać za uszy... Gdzież tu sprawiedliwość?!

Wtedy długo tłumacząc synkowi, że na rakiety nie ma, niestety, adresu pana, który ją zmagistrował.

— A gdyby był adres?

— To wytargałbym go za uszy i posadził do kańceru!

Synek przyjmuje z zadowoleniem moje oświadczenie:

— Pod schodami, w komórcie z węglem, gdzie nasz Mruczek poluje na myszy?

— W komórcie z węglem pod schodami!...

Przed tygodniem sąsiad kupił samochód. Sprowadził go na podwórko i odtąd cieszył się wśród dzieci takim uznaniem i szacunkiem, jakiego może nawet nie miał i Napoleon wśród swoich oficjów szamerowanych generałów.

— Tatusiu — zwraca się do mnie synek, układając się do snu — kiedy ty kupisz auto?

— Nie! Kupię, Jerzyku! Wiesz przecież, że nie mamy na to pieniędzy!

— Dlaczego?

— Bo twój tatusi, Jerzyku, żyje z pracy.

— Toż pan Matyrka też żyje z pracy!

— Tak, ale on pracuje w uspołecznionym handlu i jest kierownikiem dużego sklepu...

— To czemu tatusi nie przejdzie do uspołecznionego handlu?

— Nie każdy, co nawet pracuje w handlu, może... zaoszczędzić na samochod... — To brzydko, że tatusi nie

umie oszczędzać! Trzeba, żeby tatusi złożył dla siebie książeczkę PKO — stwierdza Jerzyk i odwraca się do ściany, żeby go nie raziło światło.

Dzisiaj zaś ze szkoły Jerzyk przyleciał znowu z płaczem, mokry od potu i umorusany.

— Co takiego, Jerzyku?

— Wracałem chodnikiem, a jakichś dwóch dorosłych panów mnie potrąciło i jeszcze chcieli odebrać mi tornister!

— Czy to możliwe?

— Przecież nie płakałbym... Szli tak jakoś zyzkamiem,

przy tym strasznie wymyślali!

— Takich panów trzeba, Jerzyku, omijać z daleka...

— Dlaczego?

— Bo są... źle wychowani!

— Tatusiu, a czemu ich nikt nie wychowuje i nikt nie zwraca im uwagi?

— Bo, może ich nikt nie widział?

— Widzieli inni dorośli, jak oni pędzili za mną! Ci inni stali i tylko się śmiali...

! Przerywam gniewnie rozmowę:

— Przestań filozofować! Ucz się wierszyka, który pani zadala ci na jutro!

### Przestańcie dłużyć w zębach kaloszami!!!

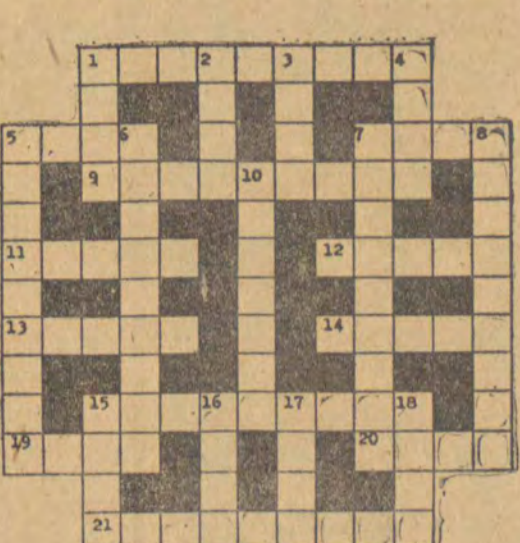
#### Przegląd prasy

### Najgorliwszym...

Najgorliwszym chyba na świecie sprawozdawcą jest redaktor pewnego duńskiego dziennika, Opffer. Płynąc niedawno okrętem parowym Wielkim Beltem, koło Kopenhagi, skończył umyślnie ze statku w wodę, aby się przekonać, czy na okręcie jest wystarczająca ilość przyrządów do ratowania

tonących. Po czterech minutach wyciągnięto go z wody za pomocą owych przyrządów, o dokładności których nie wahał się przekonać w tak ryzykowny sposób. Sumienny sprawozdawca z próby wyszedł szczęśliwie i jest z niej podobno bardzo zadowolony. („Wedowice”, 1899)

### NASZA KRZYŻÓWKA



Znaczenie wyrazów:

Poziomo — 1 Lekkość, 5 Zwierzę futerkowe, 7 Rodzaj zadrzewienia, 9 Łopatka, 11 Imię żeńskie, 12 Zdanie, myśl przewodnia, 13 Osnowa, za wartość, ekstrakt, 14 Szpadel, 15 Orzeszki, 19 Płonie, 20 Korab, 21 Największy instrument smyczkowy.

Pionowo — 1 Pacierzowy lub elektryczny, 2 Odblask pożaru, 3 Choroba odznaczająca się znacznym powiększeniem gruczołu tarczycowego, 4 Napać, natarcie, 5 Niższa izba norweskiego parlamentu, 6 Los, powodzenie, fortuna, 7 Damskie okrycie futrzane, 8 Śpiewna melodia, 10 Sprzet strażacki, 15 Uroczysty strój męski, 16 Poczućie umiaru,

17) Mebel, 18) Kwiat lub cukierek.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Rozwiązanie krzyżówki

Poziomo — paramagnetyzm, ostoja, reszta, Wt, odwaga, aparat, trapezoid, ogarek, kasetta, oda, tender, Bogota, paleobotanika.

Pionowo — proton, anoda, agawa, narta, tusza, miasto, watra, grave, proza, rydze, postep, salata, radne, korab, sagan.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. Jerzy Szymański, Kraków 28, Szklane Domy 19 m. 229.

2. Maciej Pilarczyk, Łódź, ul. Bystrzycka 3/5, III D. 8.

Redaguje Zespół :: Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa Łódzka” Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 95. Tel. 544-79 :: Warunki prenumeraty: miesięcznie 4.- zł, kwartalnie 12.- zł :: Redakcja nie zamawia rekonesansów nie zwraca :: Prenumerate przyjmują wszystkie placówki pocztowe. Ilustrowane oraz PUPIK „Ruch” — z zastrzeżeniem na „Odgłosy” c: Druk RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17 Zam. 3191. X. S-2.



